№ 25. Warszawa, dnia 14 (26) Marca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7..
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznanskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

O OSPIE I SZCZEPIENIU.

Ospa jest niewątpliwie chorobą tak dawno na świecie istniejącą, że niepodobna oznaczyć początku jéj pojawienia się. Miała ona istnieć w Chinach na 1500 lat przed naszą erą i była uważaną za karę niebios; w Indyach czczono nawet boginię ochraniającą od ospy. Pewną wiadomość o ospie posiadamy z czasów Mahometa, gdzie podczas t. zw. wojny słoniów, cudowne ptaki miały według podania zrzucić drobne kamyczki na wojska abissyńskie, przez co one wyginęły. W VIII stuleciu zabory Saracenów w Hiszpanii i Sycylii przyczyniły się do szerzenia ospy. W X. st. w Anglii uważano Ś. Nikazego za patrona od ospy. Od czasów wojen krzyżowych (wiek XI, XII, XIII) ospa grasowała straszmie między ludem prostym. Po odkryciu Ameryki ospa przeniesiona tam przez Europejczyków zrządzała niezmierne spustoszenia (w Meksyku $3^1/_2$ miliona wymarło). W Europie, ospa od czasu epidemicznego występowania, porywała rocznie około półmiliona ludzi. — Obecnie ospa prawie nie wygasa w Europie; u nas wypadki jéj są dość rzadkie, jednak nie można powiedzieć abyśmy byli od niéj zabezpieczeni, ponieważ w niedalekiém sąsiedztwie zabiera ciągle ofiary.

Ospa jest chorobą ostrą, zaraźliwą, typowo przebiegającą, połączoną z gorączką i charakterystyczną wysypką. Choroba przenosi się przez zarażenie *jadem ospowym*, znanym nam tylko ze swego działania; dotąd bowiem nie stwierdzono zdania *Hallier'a* jakoby w ospie podobnie jak i w odrze, szkarlatynie i tyfusie, miały się znajdować we krwi niższe organizmy roślinne (grzybki) stanowiące specyficzny zarazek. — Jad ospowy znajduje się w zawartości pryszczy a także i w wyziewach chorego, co objaśnia możliwość zarażenia nawet bez zetknięcia bezpośredniego z chorym na ospę. Jad ten jest bardzo odpornym na wpływy, nie niszczy się przez wyschnięcie, czepia się przedmiotów znajdujących się w atmosferze chorego (możebne jest nawet zarażenie na téj drodze), i zachowuje się lata całe bez przystępu powietrza. — Usposobienie do ospy posiadają wszyscy ludzie bez różnicy płci, stanu zdrowia i wieku (nawet płód w łonie matki), usposobienie jednak u jednych jest większe, u drugich mniejsze, — tak, że jedni nie zarażają się, inni dostają lżejszéj formy ospy (ospica), inni wreszcie ciężkiéj ospy naturalnéj, choć jad w ospie i ospicy jest tenże sam, a wystąpienie jednéj lub



Konie włościańskie, Kopia z aquarelli Juliusza Kossaka. (Ob. opis Nr. 24). (112).

drugiéj postaci choroby zależy od wrażliwości człowieka na jad ospowy. Usposobienie do ospy ginie *prawie* zawsze po przebyciu jednorazowém téj choroby. Także sam wpływ na zmniejszenie usposobienia do ospy naturalnéj wywiera sztuczne wywołanie ospy krowiéj przez zaszczepienie jéj człowiekowi; raz chroni ono na długie lata, drugi raz na czas krótszy, zawsze jednak o tyle osłabia usposobienie, że u ludzi szczepionych częściéj zdarzają się lżejsze wypadki ospy, aniżeli u nieszczepionych. W ogóle od czasu wprowadzenia szczepienia w powszechne użycie, w epidemiach ospy przeważają wypadki lżejsze nad cięższemi. Pomówimy o tém obszerniéj przy szczepieniu.—Epidemie ospy powstają w pewnych czasach i miejscach, pod wpływem nieznanym, zależnym czy to od większego natężenia jadu ospowego, czy też od większéj wrażliwości ludzi na ten jad. Czas trwania epidemij bywa rozmaity; niemniéj ich złośliwość lub łagodność bywa zmienna, pod wpływem warunków i przyczyn niewiadomych.

Odróżniamy dwie postacie ospy, stosownie do natężenia i trwania choroby *Ospę* (31 dni średnio) i *Ospicę* (21 dni). *Ospy wietrznéj* nie zaliczamy tu, z powodów, o których niżéj będzie mowa.

Ospa (Variola) jest chorobą ciężką i groźną z powodu niezmiernéj gorączki uniemożebniającéj życie, i z powodu częstych powikłań (z chorobami organów oddechowych i innych), oraz chorób następczych. Dla dzieci przy piersi będących i ząbkujących, aż do 7 roku, jest nader niebezpieczną; pierwsze umierają często z wyniszczenia i głodu, gdyż wysypka w ustach i gardle będąca, czyni ssanie niemożebném. Ciężarnym ospa zagraża poronieniem; również dla osób nadużywających napojów wyskokowych jest niebezpieczną, a zdaniem *Hebry* i dla osób, które już raz przebyły tę chorobę. Rozumié się, że osoby wątłe, słabowite, dzieci gruźliczne, rachityczne i niedokrewne, są więcéj zagrożone, aniżeli poprzednio zdrowie.

W typowym przebiegu *ospy* odróżniamy *okresy*: 1) Zwiastunny, 2) okres występowania wysypki, 3) kwitnienia, 4) zasychania. Pierwszy okres poprzedza inkubacya, okres wylęgania, to jest czas, od chwili zarażenia się do wystąpienia objawów zwiastunnych; wynosi on tygodnie lub 8—14 dni. *Okres I.* (24 godzin—3 dni). Występuje niedomaganie, słabienie, brak apetytu, silny ból głowy, zaczerwienienie twarzy, dreszcz jednorazowy lub powtarzający się, gorączka silna do 41° C. Charakterystyczne są: mocne *ciśnienie w dołku* i *ból w krzyżu* nadzwyczaj silny. U dzieci występują objawy ze strony żołądka, (zaparcie), sen niespokojny, zgrzytanie we śnie, senność przerywana drgawkami; dzieci małe nieumiejące mówić, nie skarżą się na bóle w krzyżu, który to objaw charakterystyczny ułatwiłby rozpoznanie ospy; pomimo jego braku można jednak w czasie epidemii panującéj domyślać się wybuchu ospy, po objawach przytoczonych.

Okres II. W 3-éj exacerbacyi gorączkowéj (po 3-ch dniach), zjawia się wysypka w postaci plamek czerwonych zamieniających się na guziczki—najprzód na twarzy (czoło, nos, warga górna); ztąd wysypka przechodzi na szyję, piersi, grzbiet i kończyny. Guziczki zamieniają się 2—3 dnia na pęcherzyki, a następnie na pryszcze płaskie z dołeczkiem, otoczone obwódką czerwoną, odosobnione lub zlewające się z sobą. Zarazem także występuje wysypka ospowa na *błonach śluzowych* wszystkich prawie organów (ust, oczów, nosa, ucha, gardła, krtani, oskrzeli, przewodu pokarmowego i t. d.), a nawet wcześniéj się tu daje dostrzedz niż charakterystyczna wysypka ospowa na skórze, a ztąd w razie wątpliwości co do postaci choroby, obecność pęcherzyków w gardle upewni nas że mamy do czynienia z ospą. Po wystąpieniu wysypki, gorączka się zmniejsza.

Okres III. Dnia 8—9 od wystąpienia choroby zawartość pryszczy zrazu przezroczysta, potém mętna zamienia się na ropiastą; pryszcze zlewają się z sobą w obszerne pęcherze ropą wypełnione, inne zaś pękają; czerwoność skóry się powiększa, bóle prężące mocno dokuczają choremu. Po dreszczu gorączka znowu się wzmaga (t. zw. gorączka ropienia), a zależąc w części od zapalenia skóry, zmniejsza się znów gdy to ostatnie złagodnieje. Objawy subiektywne (zależne od rozmaitych umiejscowień wysypki ospowéj), nader są dolegliwe ślinopłyn, niemożność ssania, trudne połykanie, chrypka, kaszel, biegunka.—W tym okresie może nastąpić śmierć z upadku sił pod wpływem nadzwyczaj silnéj gorączki (ospa nerwowa, tyfusowa); daléj powstają petocie, pryszcze napełnione krwią (ospa czarna), zjawiają się krwotoki z rozmaitych organów, zropienie gruczołów limfatycznych, zgorzel (gangrena) na ciele. Niemniéj także w tym okresie zdarzają się groźne powikłania jak: zapalenie płuc, opłucnéj, stawów, osierdzia, ropnica, zapalenie krupowe krtani i obrzęk głośni, etc, powikłania będące często przyczyną śmierci. Z następstw bywają obszerne ropnie w tkance podskórnéj, utrata wzroku, głuchota etc., a także nasilenie gruźlicy poprzednio tlejącéj w organizmie.

Okres IV. Po 11-12 dniach pryszcze zasychają, bez lub w części po pęknięciu w tym zwykle porządku jak występowały (najprzód na twarzy) i pozostawiają strupy mniejsze lub większe, odpadające po 3ch dniach; skóra blednie i mocne swędzenie się zaczyna, tak że chorzy nie mogą oprzeć się drapaniu. Gorączka zmniejsza się, objawy ze strony błon śluzowych łagodnieją. Po odpadnięciu strupów pozostają blizny szpecące, jeżeli tylko pryszcze głęboko w skórę sięgały, albowiem utrata substancyi zastąpioną zostaje przez tkankę, mającą własność silnego kurczenia się (blizna).

Ospica (*Variolois*) jest lżejszą, złagodzoną postacią ospy, znaną dopiero od czasów szczepienia. Objawy są podobne do ospy, ale wszystkie znacznie mniejszego natężenia. W okresie zwiastunnym gorączka jest mniejsza i wysypkę właściwą poprzedza często na 12 - 24 godz., inna wysypka w postaci czerwonych plam na dolnéj połowie ciała (*rash* Anglików). Wysypka właściwa zjawia się mniéj regularnie niż w ospie, często równocześnie na rozmaitych częściach ciała występuje (nie najprzód na twarzy jak w ospie), prędzéj się wykształca na pryszcze, jest mniéj obfita, mniéj się zlewa. Na błonach śluzowych również wysypka jest mniejsza; w okresie dojrzewania, gorączka ropienia jest słabsza, gdyż zapalenie skóry jest bardziéj powierzchowne. Powikłania częste przy ospie, występują rzadko przy ospicy; podobnież i choroby następcze. Dnia 5 i 6 po wystąpieniu, pryszcze zasychają, (7—9 dzień choroby), mała ich ilość pęka, blizny rzadko pozostają, częściéj plamy. Przebieg choroby w ogóle krótszy, pomyślniejszy, śmiertelność niewielka.

Ospa wietrzna (Varicella) uważana przez wielu za najlżejszą postać ospy, stanowi zdaniem nowszych badaczów (*Niemeyer, Fleischmann* i inni) chorobę odrębną, *nie mającą nic wspólnego z ospą i ospicą.* Sądzono, że ospa wietrzna występuje jako złagodzona postać ospy przez zaszczepienie niedawno dopełnione u dzieci, jednakże—ospa wietrzna zdarza się i u dzieci nieszczepionych, nie ma zaś powodu dla czegoby miała właśnie u dzieci występować najłagodniejsza ospa wietrzna, a nie ospa lub ospica. Daléj przebycie ospy wietrznéj nie chroni od ospy lub ospicy, a także i krowianka przyjmuje się; również szczepienie nie chroni wcale od ospy wietrznéj. Ospa wietrzna zaraża tylko ospą wietrzną, nie zaś ospą lub ospicą, (jak sądzono błędnie mięszając wypadki ospy wietrznéj z ospicą), bez względu czy było dokonane szczepienie czy nie. Epidemie ospy wietrznéj zdarzają się samodzielnie, niekiedy towarzyszą epidemiom ospy naturalnéj, poprzedzają je lub następują po nich; często także ospa wietrzna występuje obok odry lub szkarlatyny, a także sporadycznie. Wysypka wykształcona (po kilku godzinach) stanowi pęcherzyki wypełnione płynem serwatkowym, *nie zaś ropnym*; czasem wysypka jest podobna do ospowéj. Po 4-ch dniach pęcherzyki zasychają w strupki, i odpadają bez pozostawienia blizn. Objawów zwiastunnych brak, rzadziéj poprzedza gorączka nieznaczna, niedomaganie. Wysypka występuje nieregularnie po ciele, oszczędzając często twarz zupełnie; coraz to nowe pęcherzyki się pojawiają w ciągu około 14 dni, podczas gdy dawniejsze zasychają.

O szczepieniu. Pozwolimy sobie pomówić nieco obszerniéj o szczepieniu, tym ze wszech miar ważnym nabytku nauki dla dobra ludzkości.

Dawno już lekarze i naturaliści zauważyli, że głównie w czasach panowania ospy między ludźmi, występuje u krów (mianowicie na wymionach) wysypka podobna do ospowéj. Krowy tracą chęć do jadła, dają mniéj mleka i mają gorące wymiona; później na brodawkach powstają małe czerwone guziczki zamieniające się na pęcherzyki i pryszcze (4—7 dni). Pryszcze są perłowego koloru, z początku napełnione limfą przezroczystą, potém ropiastą; po 12—14 dniach zasychają.

Następnie zauważono, że ludzie mający do czynienia z krowami cierpiącemi na opisaną wysypkę, ulegali zarażeniu, lecz byli do pewnego stopnia ochronieni od ospy ludzkiéj, naturalnéj. Jeszcze przed *Jenner'em* wspominano o sile ochronnéj ospy krowiéj, tak np. w r. 1713 *Salgier*, w 1769 *Sutton i Fewster.* W roku 1791 *Plett* miał przez zaszczepienie ochronić dwoje dzieci od ospy. Jednakże dopiero *Jenner* przeprowadził liczne doświadczenia ze szczepieniem ospy krowiéj; w roku 1796 po raz pierwszy zaszczepił on 8-mio-letniemu dziecku materyę z rąk kobiety dojącéj krowy chore na ospę; dziecku temu następnie dla próby zaszczepioną została ospa naturalna, która jednak nie wywarła złego wpływu. W r. 1799 założono w Londynie pierwszy zakład szczepienia krowianki, a *Jenner'a* wynagrodzono 30,000 funt. szterlingów. Od tego czasu szczepienie weszło w powszechne użycie; zrobiono je nawet obowiązkowém.

Doświadczenie więc naprowadziło na ważne odkrycie. Liczne próby szczepienia ludziom i zwierzętom, z jednych na drugie, dowiodły pokrewieństwa jadu ospy krowiéj i ludzkiéj, gdyż zawsze powstaje po zaszczepieniu pryszcz ospowy, tak u ludzi jak i u zwierząt. Mówimy pokrewieństwa, gdyż tożsamości zupełnéj nie ma, albowiem jad ospy krowiéj znajduje się tylko w zawartości pryszcza, nie zaś w wyziewach osoby szczepionéj krowianką, w skutek czego nie zarażamy się przebywając z osobą szczepioną; daléj jad ospy krowiéj wywołuje pryszcz tylko w miejscu zaszczepienia, podczas gdy jad ospy ludzkiéj powoduje ciężką chorobę z wysypką na całém ciele. Ta ostatnia okoliczność sprawiła, że wykonywane poprzednio szczepienie ospy ludzkiéj, jako środka ochronnego, zostało w XVIII stuleciu po

odkryciu *Jenner'a* zarzucone, a nawet zabronione, gdyż miliony ludzi umierały na ciężką ospę.

(d. n.)

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 24.)

— To prawda! hm! Gdybym ją na ulicy spotkał z nim, zdarłbym z niéj... A no, darowałem! nie godzi się... a odebrać go muszę! trzeba! Mogę umrzeć, nie chcę tego mieć na sumieniu... Borodzicz, ratuj, błagam cię.

— Wiesz co — chmurno odparł Gracyan — to daremną, ja tego nie potrafię. Co mogę, na to się ofiaruję—ale taka sprawa... Zygmuś kochany, jakże ty mnie możesz chcieć do tego użyć?

— A kogoż?

— Użyj żyda, babę, dyabła... ale mnie?

— To prawda, tyś uczciwy człowiek, tybyś w to błoto nie dolazł! westchnął Zygmunt... Dajmy pokój...

To mówiąc, worek Borodzicza leżący na stole wziął w rękę. Ile tu tego jest? zapytał.

— Było sto pięćdziesiąt czerwonych złotych, coś się tam zjadło... ale ile, nie wiem.

— Policz że... dodał Zygmunt.

Wzięli się do liku...

— Sto trzydzieści zostało — trzeba ci kartkę dać? rzekł Piętka.

— Chybabyś mnie obrazić chciał — odparł Borodzicz..,

Uścisnęli się.

— O łańcuchu z granatów nie mówcie nikomu ponuro zawołał Zygmunt —ja go odzyszczę...

— A jak?

— To moja rzecz...

Rozprawiali jeszcze z godzinę... o mroku dopiero, obiecując wrócić nazajutrz, wyszedł Gracyan z raportem śpiesząc do jejmości... Smutno mu na duszy było po téj rozmowie.

Elżunia przyjęła go jak zawsze, poważnie a chłodno.

Borodzicz, który oczu jéj i twarzy dość napatrzyć się nie mógł, korzystał ze zręczności, rozwlókł się, rozgadał, nie śmiał jednak nic wspomnieć o łańcuchu. To jedno zataił, bo się sam za Piętkę wstydził, a więcéj go już obarczać nie chciał.

— Więc wioskę swą chce koniecznie sprzedać, dokończył Gracyan — i plenipotencyę mi na to gotów dać.

— To ją waćpan weź—zawołała Elżusia,—lepiéj że ją uczciwy człek mieć będzie, niżby potém kto miał pochwycić, podszedłszy go... Jedź pan. Jutro zrobimy co będzie można.

Westchnęła Elżusia.

— Któż to wie — nieśmiało wybąknął Gracyan,—jeszcze państwo się pojednać możecie i żyć, i żyć szczęśliwie.

Elżusia obróciła się ku niemu.

— To pan mnie nie znasz? rzekła. Zygmunt mnie zdradził—przebaczyć nie mogę... poświęcił mnie com go kochała, com go wybrała, wierzyła, ulicznicy takiéj... nigdy! Nie wraca miłość do serca, gdy raz ze łzami wypłynie...

Borodzicz popatrzał na straszną kobietę i nie odezwał się słowa...

— Ale on — on bardzo nieszczęśliwy! szepnął cicho.

— I jam też nieszczęśliwa bardzo! odpowiedziała Elżusia.

Chwilę jeszcze zabawiwszy... a napróżno starając się weselszą rozpocząć rozmowę, zbywany milczeniem Borodzicz się wyniósł—smutny za siebie i za Zygmusia...

Stryj go odprowadził aż na ulicę.

— Mówiłem asindziejowi... Herod-baba!.. Dobranoc!.. Gracyan pociągnął do domu.

Już zmierzchało gdy Borodzicz wyszedł z pod Trębacza. Wyprawiony za drzwi Dziemba, widząc wychodzącego, natychmiast do pana powrócił. Zastał go gorączkowo przerzucającego ubranie w tłomokach...

— Żywo, Dziemba, po cyrulika, żeby mi brodę ogolił! na jednéj nodze! żywo!...

Julek trochę się zatrzymał.

— Ej! panie — rzekł — pan chory... krwią plujesz...

— Co ci do tego czém ja pluję! ofuknął Zygmunt—idź mi po cyrulika—zaraz!—ani słowa!.. Słyszysz!

Dziemba wybiegł. Tymczasem Piętka co najlepszy strój wydobył z tłomoka i wszystko do ubrania przygotował...

Balwierz, który na dole miał golarnię, nadbiegł z miedniczką, ręcznikiem i wodą... Zapalono świeczkę, którą Dziembie trzymać przyszło. Zygmunt milczał ponuro... Ledwie uwolniony od balwierza... skoczył się ubierać... Dziemba mu pomagał, wzdychając ciągle.

— Ech! panie! panie mój! rzekł w końcu—mało co ducha w panu zostało... Kaszel coraz się wzmaga, gdzie teraz myśleć o zabawie i figlach. Jeszcze się panu gorzéj serce zakrwawi, a doktór mówił...

— Idźże mi ty precz razem z doktorem! zakrzyczał Piętka gwałtownie, chowając worek Borodzicza do kieszeni. — Jak ty nie będziesz milczał...

Julek ręką machnął tylko...

— Ty jesteś tchórz... pamiętasz, jak mi tam drapnąłeś z pod nóg Borodziczowi, zamiast coś go był powinien chwycić za nogi i obalić.

— Jeszcze znak od jego płazów noszę...

— Aleś tchórz, to i mnie zajęczym tchem chcesz zarazić—dość, milczeć i zamną w trop.

Choć trochę się chwiejąc na nogach, Piętka płaszczyk narzucił, wyszli. Milcząc tak powoli dostali się na stary rynek. Było już ciemnawo i późno, bo ubranie się przeciągnęło... Piętka zmierzał do domu, który Duparc zajmowała, i dokąd pierwszy raz Dziembę zwabiono... popatrzał w okna, znał doskonale obyczaj domowy, domyślił się, że tancerka musiała być u siebie, nie występując tego dnia w teatrze, i że niewiele osób u niéj, bo tylko w kilku się oknach świeciło.

Z dawnych czasów pozostał mu znak, jakim się do drzwi zamkniętych dobijać było trzeba, aby być wpuszczonym. Tylko wtajemniczeni posiadali tego Sezamu wiadomość.—Trzy razy żywo, czwarty nieco później zastukał do bramy... Po chwili otworzono mu ją...

— Ty, Dziemba, staniesz mi u wrot na straży póki nie wyjdę, szepnął mu... a—nie śpij.

Szybkim krokiem, o ile osłabienie dozwalało, wszedł na wschody Zygmunt, otworzył drzwi sali, w któréj paliło się kilka świec — nikogo w niéj nie było. Głosy dochodziły go z gabinetu, na prawo. Na stukot otwierających się drzwi przelękniona nieco ukazała się blada twarz panny Duparc—wylękła się jeszcze bardziéj i oburącz za drzwi chwyciła postrzegłszy Piętkę, który od choroby i wzruszenia jak trup wyglądał. Oczy mu tylko na białéj twarzy płonęły gorączką...

Duparc niewiedziała co począć... zwróciła się nazad do gabinetu, którego drzwi chciała zatrzasnąć, potém wbiegła do pierwszego pokoju, zagniewana i zaperzona.

— Ale któż tak ludzi nachodzi! zawołała... Przeciężsześmy się pożegnali z panem, raz na zawsze!

Zygmunt z wielkim wysiłkiem zdobył się na uśmiech... rękę trzymając w kieszeni brzęknął złotem, które w niéj trzymał.

— Moja droga Duparc! rzekł błagająco—daruj że mi! zmieniło się moje położenie... Paktol mi wczoraj wpłynął do kieszeni, a z kimże go dzielić, jeśli nie z tobą.. Bez ciebie nie ma zabawy, radości nie ma! życia nie ma..

Niedowierzająco jakoś patrzała nań Francuzka. Brząkał ciągle złotem, i dobywszy garść, na dłoni wyciągnął je przeciw światła...

— E! zapomnijmy o wszystkiém zawołał.— *Soyons bons amis comme jadis*.. Kogoż tam masz w gabinecie? ja nie jestem zazdrosny...

Ruszył ramionami...

—Zupełnie zazdrosny nie jestem! Byłem mógł się wesołego twego szczebiotania nasłuchać.,.— Któż tam jest w gabinecie?

Duparc zręcznie się udobruchała.

— To... ten młokos natrętny, szepnęła cicho... ten Flemming...

— Cóż on mnie przeszkadza?.. Zjemy sobie wieczerzę we trojgu... a wszakże która z twoich przyjść musi... *Fanchonette*...

Francuzka się wahała... Zygmunt rękę jéj podał.

— Bez gniewu zawołał—myśmy starzy znajomi... przyjaciele...

— Ten młokos! taki zazdrosny, poczęła cicho ruszając ramionami Duparc, i odprowadziła ku drzwiom. Udaj, że wychodzisz... proszę.. wiesz drzwi gabinetu... odpocznij tam... za godzinę będziemy sami, przyjdzie Fifina tylko i Laroche. Wieczerzę zjemy razem... lecz młokosa odprawić muszę...

Zygmunt począł się niby żegnać, a Francuzka odprawiać go głośno i niecierpliwie... Wyszedł wreszcie zamykając drzwi za sobą... i tuż wsunął się do znajomego gabinetu... Jedna lampa w alabastrowém naczyniu oświecała ten kątek cały atłasem wybity i sofami okolony... Zygmunt położył się i wyciągnął bez ceremonii... czując potrzebę spoczynku.

W pół godziny może weszła na palcach Fifina... Była to jedna z tancerek panny Duparc: wdziękami, sztuką i sławą niżéj daleko od niéj stojąca, istota tęskniąca do swéj wioski, wciągnięta w życie, które chwilami upojeniem, chwilami było zgryzotą i męczarnią. Coś litościwego i dobrego kryło się pod niepozorną tą postacią, któréj brakło uroku i zręczności... Zygmunt się zerwał. Fifina przestraszyła... lecz poznała go prędko. Położył palec na ustach.

— Co pan tu robisz? A! ja nieszczęśliwa! jak okropnie wyglądasz...

— Jakże chcesz?—uśmiechnął się Zygmunt— inaczéj wyglądać nie mogą ci, co z grobu wychodzą.

— Duparc ma gościa! ona... was przyjąć nie może.

— O! bądź spokojna... widziałem ją i otrzymałem pozwolenie... oczekiwania na Jéj Królewską Mość.

Fifina spojrzała na bladego, biednego i z trudnością oddychającego przybysza... pokręciła głową.

— Biedny człowiek! szepnęła... Ale po cóż wracasz do tego... piekła?

— Masz słuszność! tak! Fifino... — lecz... lecz musiałem...

Spojrzał na nią: dziewczynie łzy kręciły się w oczach, ocierała je fartuszkiem.

— Prawda—rzekł żywo—litujesz się nademną, lecz gdybyś wiedziała... co mnie tu sprowadza, krwawaby ci łza pociekła.

— A wiedzieć tego nie mogę? z trochą kobiecéj ciekawości siadając przy nim szepnęła Fifina...

— Tyś dobre dziecko — rzekł Zygmunt — pomóż mi, pomóż... a będziesz wiedziała wszystko.

— Lecz czy ja pomódz wam mogę?

— A! pewnie. —Zygmunt wziął ją za rękę—i ścisnął—Fifina zadrżała.

— Cóż to jest?

— Tyś dobre dziecko! powtórzył Piętka... ty znasz Duparc... ty wiesz jak trafić do jéj głowy... bo — do serca drogi nie ma, gdzie samego nie ma serca... Fifino pomożesz mi?

— To coś okropnego? (*d. c. n.*)

KORESPONDENCYA.

Poznań, w początku Marca 1872.

Ubiegły miesiąc zapisał się w dziejowéj kronice poznańskiéj licznemi objawami rzeźwo i ochotnie pulsującego, publicznego życia. Nie wyszliśmy z wiru istnego publicznych zgromadzeń różnéj treści i dążności, nie wyszliśmy daléj z nawału koncertów wokalnych i instrumentalnych, jakiemi nas wyjątkowa a tém pożądańsza łaskawość na Poznań przejezdnych i przyjezdnych artystów darzyła. Zacznijmy od owych zgromadzeń publicznego zakroju, jako od przedmiotu poważniejszego, zacznijmy mianowicie od wzmianki o zebraniu Towarzystwa Pomocy Naukowéj, któremu się pierwsze pod tym względem należy miejsce. Piękna ta instytucya, zawdzięczająca byt swój ś. p. doktorowi Karolowi Marcinkowskiemu, liczy już trzydzieści lat życia, a odpowiedziała godnie swemu przeznaczeniu i pierwotnemu zadaniu wydobywania z łona warstw niższych społeczności naszéj pewnego procentu intelligencyi ku służbie i dobru kraju. Statystyka Towarzystwa ogłoszona kiedyś, im prędzéj tém lepiéj, byłaby prostemi cyframi i datami swemi bez żadnych illustracyj i panegirycznych kommentarzy, najpiękniejszym pomnikiem z jednéj strony ofiarności społeczeństwa poznańskiego, z drugiéj użyteczności i zbawienności stworzonéj nią instytucyi. — Tegoroczne walne zebranie jego, odbyte na wielkiéj sali Bazaru pod przewodnictwem p. Władysława Bentkowskiego, składające się z kilkuset zgromadzonych członków Towarzystwa, ograniczyło swą czynność jedynie tylko na wysłuchaniu sprawozdania z przeszłorocznych działań Towarzystwa, z których jako naczelny a pocieszający rezultat wynika, iż Towarzystwo rozporządzało przez rok 1871 funduszem 12,000 talarów i utrzymywało około 150 ubogich młodzieńców kosztem swym na różnorodnych zakładach naukowych, — daléj na wyborze nowéj dyrekcyi, któréj członkami, dzięki wzorowéj swéj administracyi i wyniesionemu ztąd ogólnemu zaufaniu, zostali wybrani uczestnicy dotychczasowéj. Składają zaś obecnie dyrekcyę Towarzystwa Pomocy Naukowéj pp.: ks. prałat Brzeziński jako prezes, professor Rymarkiewicz jako zastępca prezesa, Tadeusz Chłapowski, Maryan Cybulski, ks. biskup Janiszewski, Kazimierz Kantak, Mieczysław hr. Kwilecki, Feliks Łaszczewski, dr. Matecki, Józef hr. Mielżyński, professor Motty, Anastazy Radoński, Leon Świątkowski, syndyk Wagner, professor Wituski jako sekretarz, ks. kanonik Grandke jako podskarbi.— Prócz zebrania Towarzystwa Pomocy Naukowéj, mieliśmy również na wielkiéj sali Bazarowéj, pod dniem 21 Lutego, pierwsze walne zebranie członków co dopiero zawiązanego Towarzystwa Oświaty ludowéj. Towarzystwo to, które wzięło sobie za naczelne zadanie szerzyć światło między ludem włościańskim monarchii pruskiéj za pomocą tanich wydawnictw w języku rodzimym, tak zwanego kolporterstwa i mających się zakładać po parafiach bibliotek ludowych,— doznaje, jak na bardzo krótki czas swego trwania, wiele współczucia, wiele udziału, a nadewszystko wiele czynnéj pomocy ze strony naszéj publiczności. Zewsząd płyną i to hojne bardzo datki na rzecz towarzystwa a organizacya jego na prowincyi zupełnie już urządzona. Walne zebranie jego pierwsze na sali Bazarowéj było bardzo liczne, a przedewszystkiém bardzo ożywione i zajmujące. Po zagajeniu posiedzenia przez dyrektora tutejszego banku, p. Mieczysława Łyskowskiego, powołano przez aklamacyę na przewodniczącego p. Władysława Niegolewskiego, pod którego kierownictwem po kilko-godzinnéj dyskussyi przyjęto statuta ułożone przez wybraną ku temu poprzednio komissyę. W ciągu rozpraw zabierali głos Miarka, redaktor dzienniczka *Katolik*, wychodzącego na Górnym Szlązku i Sewera, Czech, fabrykant z miasta Pragi. Krótko przedtém odbyło się też w tym samym lokalu, służącym nam z dawien dawna na wszystkie nasze mityngi czy wiece, walne zebrania Towarzystwa Centralnego Rolniczego W. Księztwa Poznańskiego. Głównemi między innemi przedmiotami obrad jego były: sprawa wychodztwa ludu naszego wiejskiego do Ameryki pospołu z obmyśleniem środków mających podobnéj emigracyi zapobiedz na przyszłość, następnie zaprowadzenie instytucyi tak zwanych nauczycieli wędrownych, których zadaniem mają być popularne wykłady w języku polskim dla ludu wiejskiego na prowincyi i urządzanie pomiędzy wieśniactwem naszém spółek w celach ulepszeń gospodarskich. Osobną też jeszcze drogą po za obrębem działalności Towarzystwa Centralnego Rolniczego, zawiązuje się tutaj, nawiasowo powiedziawszy, tak zwany *Bank Włościański*, którego przeznaczeniem ma być li tylko zaopatrywanie potrzeb i dostarczanie kredytu posiadłościom małym wiejskim. — Kończąc wreszcie w naszém sprawozdaniu cykl zebrań naszych walnych w ciągu ubiegłego miesiąca Lutego, winniśmy jeszcze wzmiankę ostateczną *Towarzystwu ku wspieraniu urzędników gospodarskich W. Księstwa Poznańskiego*, dobroczynnéj instytucyi, która wzięła sobie za zadanie pośredniczyć w poszukiwaniu posad odpowiednich i chronić na starość od ostatecznéj nędzy, wysłużonych oficyali-



Spuszczanie się z Zawrotu. (113).



Szałas. (114).



ŻOŁNIERZE WALLENSTEJNA NA KWATERZE, (215).

podług obrazu J. Geissera.

stów gospodarczych. Śpiesząc ku przedmiotom z innéj dziedziny, zauważymy o *Towarzystwie* owém *ekonomów*, iż jest *jedyném* z naszych towarzystw na nowych przez rząd wydanych prawach korporacyjnych, i że się ma w posiadaniu poważny kapitał 20,000 tal. A teraz kilka słów o naszym teatrze, o którym mimo wszelkich optymizmów trudno nie przyjść do przekonania, iż jeśli co, to dopiero wystawienie zamierzonego gmachu teatralnego i energiczne wzięcie w ręce sceny narodowéj przez dyrekcyę miejscową, lepszą i trwalszą przyszłość wyjednać mu zdoła. Krótki szkic dziejów dotychczasowych sceny naszéj przekona szanownego czytelnika, jak dalece mamy słuszność: I tak przybywa, zaledwie tylko zmienione w Czerwcu 1869 prawodawstwo uczyniło możność scenicznych przedstawień niezależnemi od konsensów władzy administracyjnéj,— w Grudniu tegoż roku p. Lech Nowakowski z p. Miłoszem Sztenglem ze Lwowa czy z Królestwa Polskiego, i rozpoczyna szereg reprezentacyj w teatrze miejskim poznańskim, które wśród jakokolwiek troskliwego repertuaru, wśród udziału artystów, jakimi byli p. Aszpergerowa, oboje Nowakowscy, komik Hennig, niezłe miały powodzenie. Chciała jednakże przyświecająca naszemu teatrowi nieszczęśliwa gwiazda, iż już w Kwietniu r. 1870 nastąpił rozbrat między obu przedsiębiercami. P. Sztengel wyjechał z częścią towarzystwa na prowincyę, pan Aleksander Nowakowski pozostał z większą częścią na miejscu w Poznaniu i pozostał panem placu. Mimo secessyi grywającego współcześnie w Pleszewie, Gnieźnie, Śremie, Chełmnie, Toruniu i Inowrocławiu p. Miłosza Sztengla, co w każdym razie osłabiało siły towarzystwa w Poznaniu i wpływało ujemnie na udział tamtejszéj publiczności, nie były przecież jeszcze najgorsze konstellacye pozostałego pod dyrekcyą p. Nowakowskiego w Poznaniu samym teatru. W Maju roku 1870 przybył z gościnnemi występami znakomity artysta teatrów warszawskich, obecny reżyser teatru krakowskiego, pan Józef Rychter. Występy jego ściągały liczną bardzo publiczność. Następny miesiąc czerwiec i początek miesiąca Lipca nie były również bez powodzenia dla sceny polskiéj, aż nadeszła nieszczęsna chwila wojny francuzkiéj, która wśród ogólnego rozstroju publiczności, wśród licznych zaciągów wojskowych, zmusiła dyrekcyę teatru do zawieszenia na nieokreślony przeciąg czasu przedstawień. Trwała owa przerwa do połowy miesiąca października, poczém p. Nowakowski rozpoczął znów szereg reprezentacyj, które wśród bardzo zadowalającego udziału publiczności, ile razy tylko repertuar dopisywał, przeciągnęły się aż do miesiąca Kwietnia r. 1871. W tym miesiącu przybył jeszcze na kilka występów ponownie p. Rychter i ściągnął liczny zastęp publiczności mianowicie przez znakomicie odegraną rolę *Skąpca* Molierowego. Pod koniec Kwietnia wyjechał p. Nowakowski ze swém towarzystwem na kilka tygodni do Gniezna, poczém powrócił z końcem Maja do Poznania, by po kilku przedstawieniach, bez poprzedniego uwiadomienia publiczności, w najkorzystniejszéj zwykle dla teatru polskiego chwili, Poznań opuścić i przenieść się do Kalisza. Poznań pozostał więc zupełnie bez sceny polskiéj przez ciąg pory letniéj, a nadto stawiał p. Nowakowski z Kalisza tak twarde warunki komitetowi poznańskiemu zawiadującemu zebranym z akcyj funduszem teatralnym, iż ten mimo najlepszéj woli o powrocie jego do dyrekcyi sceny w Poznaniu myśleć nie mógł. Mniéj wymagającym okazał się członek jego towarzystwa, p. Stanisław Dobrzański, syn znanego publicysty lwowskiego Jana Dobrzańskiego, i ogarnął też kierownictwo sceny poznańskiéj. Repertuar za czasów jego dyrekcyi, rozpoczynającéj się z miesiącem Październikiem r. 1871, nie powiemy, by był zbyt umiejętnie dobierany i by się był obliczał z siłami towarzystwa. Od „*sublime*" Otellów, Romeów, Hamletów, Tellów, spadał na „*ridicule*" miernych często komedyek i melodramatów. Nadto można powiedzieć bez wyrządzenia najmniejszéj krzywdy towarzystwu zebranemu z różnych żywiołów, iż nie miało ani jednego wybitniejszego pośród siebie talentu, z wyjątkiem jedynéj uzdolnionéj w rolach charakterystycznych p. Szymańskiéj artystki teatru lwowskiego. Obecnie należy już dyrekcya i towarzystwo p. Dobrzańskiego do historyi na widowni poznańskiéj. Sam p. Dobrzański wydobywszy z Poznania, co się wydobyć dało, przenosi się z końcem Marca do rodzinnego miasta i zabiera z sobą tych artystów, którzy jeszcze jakokolwiek na to miano zasługują; garderoba i biblioteka wędrują w znacznéj części z p. Dobrzańskim do Lwowa, długi zostają na miejscu, a zarząd teatru przechodzi bezpośrednio w ręce komitetu teatralnego, któremu tém samém spada na kark bardzo ciężkie zadanie. Jak się zeń wywiąże zdoła, jesteśmy ciekawi i okaże przyszłość; daj Boże, by lepiéj, od obu poprzednich dyrektorów! Tymczasem objeżdża jeszcze prowincyę, małe miasta, jak Śrem i Środę, z *osobném*, nie bardzo *zasobném* towarzystwem P. Kaliciński. I otoż w całości i krótkości zebrany rys dziejów i obecnego stanu sceny w Poznaniu i w Poznańskiém. — O koncertach artystów, jak Józefa Wieniawskiego, Bülowa, Pani Artôt, Beckera, Joseffego, wspomniałem już w przeszłéj korrespondencyi z Poznania. W obecnéj zapisać mi tylko dodatkowo przychodzi odwiedziny śpiewaczek warszawskich, panny Bogusławskiéj i Panny Kwiecińskiéj, tudzież o kilku koncertach na skrzypcach p. Taborowskiego. — Z kroniki literackiéj zasługuje na wzmiankę: piękny odczyt p. Stanisława Koźmiana na posiedzeniu wydziału historyczno-moralnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk *O życiu i pismach Konstantego Gaszyńskiego*. W dziedzinie publicystycznéj zapowiadają nam z *prima Aprilis* nowość, gazetę obszernych rozmiarów, treści politycznéj, mającą wychodzić pod nazwą *Gazety Wielkopolskiéj*. Będziemy więc mieli na naszéj szczupłéj widowni aż cztery czasopisma polityczne. Jak się zdołają utrzymać, niepodobna obliczyć. *Embarras de richesse*!

PRZEZ TATRY.

Opis wycieczki odbytéj w Lipcu 1871 roku.

TEKST I ILLUSTRACYE

Antoniego Zalewskiego.

(*Dalszy ciąg. Ob. Nr. 24*).

Zaczynamy się więc spuszczać w dolinę zwaną „Pięciu Stawów" u nóg naszych leżącą, z których jednak tylko pierwszy w pół zamarzły widać pod naszemi stopami. Spuszczając się mniéj przykrym niż po tamtéj stronie stokiem, napotykamy znowu ogromne płaty śniegu, ale schodzić z nich łatwiéj i szczególnie prędzéj niż wchodzić. Wala daje nam przykład; wybrawszy stosowne miejsce, siada na śniegu szeroko rozkraczywszy nogi, zatyka przytém toporek w śnieg, siedząc na nim konno jak dzieci jeżdżące na kiju, i trzymając go silnie oburącz lewą ręką nizko niedaleko końca, a prawą wyżéj u toporka, co służy za rodzaj hamulca, uczy nas jak dawać sobie kierunek, wciskając stosownie pięty do śniegu, i puszcza się tak siedząc, zgóry. Idziemy kolejno za jego przykładem Szybkość téj jazdy jest niewypowiedziana; trzeba tylko wybierać takie miejsca, gdzieby pochyłość śniegu z razu gwałtowna, przechodziła powoli w łagodniejszą, i skończyła się płaszczyzną, na któréj pęd coraz wolnieje i nareszcie się kończy. Do tego trzeba się nauczyć kierować piętami, gdyż inaczéj można by się w czasie zjeżdżania wstecz obrócić i zjechać głową w dół, co niekoniecznie jest przyjemnem. Kierunek zaś nadaje się w ten sposób, że skoro się spostrzega, że się zaczyna skręcać w prawo, trzeba piętą z tejże strony trochę w śniegu zaryć i wzajemnie, przez co się równowaga przywraca. Pęd jest tak szybki, że z początku aż się ciemno w oczach robi i dech się zapiera, ale następnie ruch wolnieje, i w końcu zupełnie ustaje. Przyjemnie jest zjechać w kilka sekund przestrzeń kilkuset stop, na którąby się trzeba przynajmniéj godzinę w górę drapać.

Zatrzymawszy się tedy w pędzie, powstajemy, i idziemy daléj, schodząc ciągle na dół doliną Pięciu Stawów. Najwyżéj położony z nich jest „Zadni", także zmarzłym zwany, największy jest „Wielki" 60 morgów obszaru mający, zatém nawet od Morskiego Oka nieco większy, wszystkie, jak zwykle górskie jeziora, położone jakby na piętrach jedne nad drugiemi, łączą się spadającemi z jednego do drugiego wodospadami i potokami. Wszystkie te górskie jeziora podobne są do olbrzymich czar z granitu, przeczystą ciemnobłękitną woda napełnionych po brzegi, w jedném zaś miejscu, jakby przez szczerbę u brzegu czary, wylewa się ciągle nadmiar wody do drugiéj niżéj leżącéj. Dla mieszkańca dolin przywykłego do zwykłych naszych płasko rozlanych jeziór, widok tych górskich „Stawów" jest nadzwyczaj oryginalny. Cała dolina Pięciu Stawów, zasypana olbrzymiemi złomami granitu, przedstawia widok przerażającéj dzikości. Nie widać żadnéj zieloności, tylko szary granit urozmaicony jedynie płatami śniegu i ciemnym błękitem Stawów; w około sterczą groźnie zębate szczyty Tatrów zdaje się że tu koniec świata, śmierć natury!

Ze zdziwieniem zbliżając się do brzegów Wielkiego Stawu postrzegamy w téj dziczyznie ślad mieszkań ludzkich; jest to szałas pasterzy, ale jakież to mieszkanie! Dziwaczne jakieś klatki przyczepione do ogromnego głazu, który cały jéj bok stanowi.

Korzystając z chwilowego wypoczynku odszkicowałem najbardziéj może na świecie pierwotny budynek, pół jaskini, pół chaty. Pasterze z Białki, którzy tutaj przez lato koczują, równie jak ich mieszkanie, harmonizują z dziką scenerya która ich otacza. Ubiór juhasów i ich postaci są najbardziéj charakterystyczne jakie mi się w Tatrach widzieć zdarzyło. Jeden z nich miał na piersiach zwykle przez górali używaną spinkę mosiężną, którą zapinają koszulę na piersiach, ogromną jak dłoń, wycinaną w charakterystyczne arabeski, a z niéj spuszczały się jak frendzla długie łańcuszki aż do pasa. Tak był dumny ze swéj ozdoby, że nie chciał mi jéj za nic ustąpić, pozwolił się tylko z nią razem odszkicować, i ten to jest góral, któregom umieścił na tytułowéj winietce.

Podczas krótkiego naszego tam popasu, złączyło się z nami dwóch turystów, Niemców ze Szlązka, jeden student, drugi urzędnik z kopalni szlązkich, którzy ze swoim przewodnikiem szli z doliny Kościeliskiéj, a idąc także do Szmeksu, odtąd nam towarzyszyli, co kompanię naszą do liczby 13-stu osób podniosło.

Ale już się miało ku wieczorowi, a Wala chciał koniecznie nocować u Morskiego Oka; nagli

nas więc do wymarszu. Ten, z początku naszéj podróży ledwie nogami suwający staruszek, teraz skakał jak sarna ze skały na skałę i wszystkim ochoty dodawał. Lecz kto od początku wzbudzał zadziwienie nietylko w nas ale i w przewodnikach naszych, to ów tajemniczy nasz towarysz pan O. Mówił nam, że poraz pierwszy był w górach, tymczasem z niesłychaną zręcznością i szybkością przebiegał ogromne przestrzenie, wyprzedzając zawsze całe nasze grono, i siadał sobie gdzieś na skale, czekając na nas a kiedyśmy zziajani i zmęczeni nieprędko do niego się przywlekli, on krótko z nami zabawiwszy, ruszał znowu naprzód i wkrótce z oczu nam znikał. Tylko gdzie jakieś niebezpieczne miejsce wymagało wzajemnéj pomocy, był zawsze przy nas i stawał nam za dziesięciu przewodników. I tak zaraz po odejściu naszém od szałasów u Wielkiego Stawu wypadło nam przebywać po kilku rzuconych i trzęsących się a śliskich klocach świerkowych huczący w kaskadach potok, który płynie z Wielkiego do niżéj położonych stawów. Tutaj najsmielsi i najzręczniéjsi się zawahali; jeden pan O. jak akrobata przebiegłszy trzęsącą się kłodę, powracał po kilka razy, żeby nam a nawet naszym obładowanym przewodnikom pomocniczą podać rękę. Przeszedłszy potok, szliśmy daléj okrążając niższe stawy i skacząc ciągle z kamienia na kamień; gdyż cała ta dolina jest, jak mówiłem, zasypana ogromnemi głazami wielkości najmniejszej dobrego pieca kaflowego. Mijamy tedy Stawy Mały i Przednie i zbaczamy nieco w lewo aby rzucić okiem na „Siklawę;" tak się nazywa najwspanialszy w Tatrach wodospad, którym zgromadzone wody Pięciu Stawów z wysokości paruset stóp spadają w dolinę Roztoki. Nieubłagany Wala nie daje nam dość długo nacieszyć się tym cudnym widokiem, bo mamy jeszcze parę dobrych godzin drogi, a słońce już nizko.

Oprócz przykrego urwiska Swistówką zwanego, droga coraz jest łatwiejsza; schodzimy najprzód w strefę kosodrzewiny, daléj im niżéj tem gęściéjszą spotykamy trawę, nareszcie witamy dawno już niewidzianą dziedzinę wegetacyi leśnéj i napotykamy poraz pierwszy od rana, drogę, która acz dla wozów niedostępna, wydaje się nam po tylu *Piargach*, skałach i śniegach prawdziwie bitym gościńcem. Jest to droga od wsi Bukowiny którą ostrożniejsi turyści, dojechawszy tam wózkiem i przenocowawszy, idą do Morskiego Oka. Postrzegamy na krańcu lasu szałas pasterzy i właśnie w porę, bo deszcz rzęsisty, na szczęście krótki, tutaj nas po raz pierwszy od wyjścia z Zakopanego spotyka. Zasiadamy u ogniska żeby deszcz przeczekać. Stary Pasterz rozwodzi przed nami gorzkie żale, bo niedźwiedź w tym tygodniu kilka krów mu *zabił*. Ostatnią zaledwie wczoraj tuż blizko Morskiego Oka, przy samém miejscu gdzie nocować mamy. Żałujemy, żeśmy nieopatrzeni w myśliwskie przyrządy i oprócz małych kieszonkowych rewolwerków nie mamy innéj broni, żeby można było urządzić wyprawę na tego rabusia. Ale nazajutrz, oglądając szczątki zabitéj krowy, przekonaliśmy się naocznie, że niedźwiadek nie jest rzadkim gościem w Tatrach. Deszcz się wkrótce skończył, i już się dobrze zmierzchało; wszyscyśmy niemało zmęczeni, i nie jeden z nas wolałby już tutaj przenocować; ale Wala zmusza do pochodu, obiecując nam, że za pół godziny staniemy w doskonałym *hotelu* tuż nad Morskiém Okiem, aż nazajutrz będziemy mogli oglądać je przy wschodzie słońca. *(d. c. n.)*

LITERATURA ZAGRANICZNA.

PROJEKT REFORM SPOŁECZNYCH.

Esprit nouveau dans l'humanité; par Hen-Brissac.—Paryż, 1872 (deux. éd.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 24).

Nie pójdziemy za nim po téj śliskiéj pochyłości, która prowadzi we wnętrze takich instytucyi jak prawo powszechne i religia, a wstrzemięźliwość nasza będzie każdemu do wytłumaczenia: zajrzymy tylko do rozdziałów traktujących o wychowaniu i miłości.

Autor, lubo nie jest zadowolonym z wychowania ze strony jego czysto instrukcyjnéj, jednak lekko i ogólnikiem tylko wyraża swe niezadowolenie, jeśli nie zupełném nawet część tę pomija milczeniem. Inaczéj się ma z drugą połową wychowania, to jest ze stroną właściwie edukacyjną, czyli z kształceniem moralném, z uprawą serca. Na tym punkcie ma zaprawdę autor wiele do powiedzenia, boć to rzeczywiście najsłabsza strona społeczeństw, i nie myślimy téż bynajmniéj łagodzić okropności rysów w jakich on obraz ten nakreślił, zaniedbaniu téj strony duszy człowieka głównie przypisując wszystkie klęski i bezprawia trapiące rodzinę ludzką. — „Wszystko, powiada autor (str. 128), — w rodzinie i szkole, zdaje się sprzymierzoném, aby dziecko uczynić niesprawiedliwém i złém. Od kolebki aż do wieku młodzieńczego działają nań nieustannie wpływy zabójcze. Gdyby więc nawet przyszło do utworzenia jakiejś nauki produkującéj dobro, możnażby prawa jéj zastosować bez zmiany otoczenia, w jakiém ten wiek dziecięcy upływa?"— A więc, chcąc zmienić edukacyę, trzebaby zmienić rodzinę i szkołę.

Dziecko jest jak gąbka. Pierwsze wrażenia zaledwie działać nań poczną, a już ślady działania ich na organizacyę stają się prawie niezatarte. A czemże są, według autora, te pierwsze wrażenia, jeśli nie widokiem starć, gwałtów i ucisku? Patrzy dziecko od pierwszych chwil na twarze zagniewane, słucha pogróżek i obelg. Ma on widać na myśli to co u nas np. reassumuje się często w wyrażeniu zaperzonego instruktora: — Ej, ośle, bo dostaniesz za uszy!— Następnie uczą go ubóstwiać siłę. Mówią mu; że Aleksander, Cezar, dla tego iż roznosili po świecie mord i spustoszenie, stali się wielkiemi ludźmi, — i on temu wierzy. Oprowadzają go po panteonie bohaterów mordu, i on ich podziwia. Wraża sobie w pamięć nazwy tysiąca bitew, i budzi się w nim chęć pustoszenia. Póki nie będzie gotów do mierzenia się z ludźmi, zaprawia się tymczasem na swych współtowarzyszach, wybiera, rozumie się, najsłabszych i na nich probuje pięści i kolan. Zbraknie kollegów, ma pod ręką zwierzęta; i otóż otwarły się w nim śluzy okrucieństwa, w którém miłość chwały i chęć górowania są niby dodatniemi stronami męzkiego charakteru. Przychodzi nadto różnica towarzyskich położeń, różnice religii, które, przy takiem usposobieniu chłopca, nastręczają sposobność do rozwijania elementu przeciwnego zasadom miłości wzajemnéj. Do tego szkoła, w chwalebnym wprawdzie celu emulacyi, wprowadziła zaszczytne oznaki, a i te, zdaniem autora, są nie czém inném, tylko rozwijaniem uczucia pychy. Możnaby ten rodzaj zachęty zastąpić środkami odpowiedniejszemi rozwojowi umysłowemu, bez narażenia serc na zatrucie; dosyć jest mieć na uwadze nienasyconą ciekawość dziecka, rozpoznać powołania, rozdzielić racyonalnie godziny pracy, wybrać przyjemne miejscowości, nadewszystko zastosować powab metody do rozmaitości charakterów, a zamiast nagród za naukę wyznaczać nagrody za piękne obyczaje. Słowem szkoła, jeśli chce być pożyteczną i produkować istotne dobro, powinna nietylko mieć za zasadę: nie czyń drugiemu co tobie niemiło i naodwrót, ale ją na każdym kroku, w każdéj chwili, zastosowywać i wprowadzać w życie; starać się aby uczeń był przedewszystkiém i koniecznie *dobrym*, a *uczonym* tyle ile być może; inaczéj szkoła będzie tylko ogniskiem zepsucia nie zaś przewodniczką umoralnienia. Uczeń powinien być przesiąkły atmosferą prawdziwéj moralności, któraby przejęła go tém przekonaniem, że najwyższym celem jaki on ma osiągnąć, jest stać się ludzkim. Wszelka wyższość intellektualna wyrażająca się dążnością do panowania nad ludźmi, nie nad rzeczami, powinna być gnębioną jako szał antisocyalny.

Niepodobna zaprzeczyć wyższości ukształcenia moralnego nad zbogacenie umysłu, ani téż nie dostrzegać zbyt często, niestety, przepaścistego rozstępu między jedném a drugiém, choć to niby w zasadzie jedno drugie ma wspierać. Często i bardzo często dojrzałość umysłowa chodzi w parze z przewrotnością i nieludzkością. Cóż byłoby pożądańszém jak szkoła moralności równie metodyczna jak szkoły instrukcyjne. Łatwiéj jednak objawić życzenie, niż wskazać środki właściwe do jego zadowolenia. W szeregu obserwacyj nie zwrócił uwagi autor, że szkoła, w technicznem znaczeniu tego wyrazu, nie może być tak przeważnie obyczajową, jak on tego sobie życzy. Niemożna przecież zarzucać, aby szkoły, jakiemi są dzisiaj, nie były w zasadzie obyczajowemi, i aby nie pilnowały téj zasady *tant bien que mal*. Można żądać więcéj, można część instrukcyi w tym kierunku wytężyć, ale zrzucać na nie cały obowiązek i całą odpowiedzialność niepodobna. Ponieważ umysł ludzki nie jest tak ruchliwym i rozmaitym jak serce, ale więcéj jednolitym, przeto do jego ukształcenia łatwiéj dają się zastosować jakieś prawidła ogólne; kiedy nad ukształceniem serca potrzeba niemal indywidualnie pracować i śledzić wszystkie czynności, wszystkie najtajniejsze niemal intencye subiektu, bo ogólne wypowiedzenie prawidła jest dlań środkiem, w téj mierze, prawie bezskutecznym. Czyż szkoła panująca nad massami może się zajmować szczegółowo każdą jednostką i, jak to mówią, od wstania aż do układzenia, czujność swą nad nią rozpościerać? Mogą to wprawdzie czynić tak zwane pensyonaty, złożone z kilkunastu indywiduów, ale jakaż to cząstka ludności korzystać z nich może? Żeby ogół ludności mógł być tak edukowanym, potrzebaby chyba takiego idealnego zbogacenia świata, jakie przepowiada p. Brissac, po dokonaniu wszystkich podbojów umysłu nad światem materyalnym, ale dopóki to nie nastąpi, ogół musi poprzestawać na edukcyi odbywanéj w massach.—Z drugiéj strony szkoła, jako szkoła, przy takiéj właśnie liczebnéj przewadze niezamożności nad zamożnością ma bardzo ważny obowiązek, przez instrukcyę zastosowaną do postępu oświaty w społeczeństwie, ukształcić indywiduum do pewnego zawodu przydatnego społeczeństwu, a tém samém dać wielkiéj liczbie indywiduów możność zarobienia na życie w warunkach dla niéj najkorzystniejszych. Nie jestże to już wielki cel, i nie jest że to już chwalebną zasługą szkoły, że ona celu tego dosięga i to w znakomity sposób, bijący w oczy.

Ale rozszerzmy ten wyraz: szkoła; i przywiążmy do niego znaczenie każdego miejsca zkąd wpływy moralne uderzają na człowieka i ryją

niezatarte piętna w jego organizmie. Tu przedewszystkiém i najgólniéj przedstawia się dom rodzinny.

Zostawmy na boku sielankę, bardzo u nas mianowicie rozpowszechnioną, co do błogości tego życia rodzinnego i spojrzyjmy realniéj na rzeczy, a mianowicie na wpływ edukacyjny tego domowego ogniska. Trzebaby być człowiekiem obranym z rozumu, żeby wąpić czy rodzice kochają swe dzieci; owszem, to rodzinne ciepło, ten święty ogień domowy, te ręce wiecznie z błogosławieństwem rozpostarte nad głową rodzeństwa, te oczy ojca i matki z miłością goniące za ruchami dziatek, to widok codzienny, a jednak jak widok słońca, nigdy nie uprzykrzony i nie powszedniejący; świadczy on, że rodzina w gruncie swym to istnie coś świętego, jak religia; ale też jak religia miewa i fałszywych kapłanów i obłędy fanatyczne i dziwne obrzędy. — Każdy zapewne chce, ale pytanie, kto umie, być ojcem i matką. Przyjrzyjmy się dobrze, a zobaczymy, że w rodzinie uwaga i staranie o stronę obyczajową i moralną dziecka, o gruntowne ukształcenie jego serca, należy do rzadkich wyjątków. Na pierwszym planie starań rodzicielskich jest zapewnienie dziecku karyery w swiecie, na to nie szczędzi się kosztów i poświęceń: rodzice odmawiają sobie przyjemności, ba nawet zaspokojenia potrzeb, aby dziecku swemu zapewnić los, umierać z tą myślą, że dzieci po ich śmierci radę sobie dadzą. Kto może zbiera w tym celu pieniądze; inny daje tak nazwaną edukacyę. Jest to strona uczuć rodzinnych piękna i chwalebna, materyał z którego wszystko zbudować można; chodzi więc tylko o to, że ta miłość zbytecznie zwróconą jest w jeden punkt z pominięciem innych, a ztąd pochodzi, jeśli nie fałszywe, to przynajmniéj niedostateczne zapatrywanie się na cel miłości. Jeśli dziecko zachoruje, widzisz w téj chwili matkę pobladłą, gotową złożyć całe mienie, całą przyszłość, życie nawet własne u stóp lekarza, i błagającą go, aby je ratował. Jeśli dziecię szwankuje ciałem, jeśli natura dała mu, a szczególniéj pannie, jedno ramię za długie lub jedną nogę za krótką, rodzice z chęcią oddają część majątku i wodzą dziecko po różnych zakładach ortopedycznych, ażeby ciało zwrócić do normalnego stanu. Cóż mówić o istotnych niebezpieczeństwach, grożących zawczesném tego ciała zniszczeniem! — Rodzice nie ufają tu własnéj wiedzy, ale idą o poradę do sztuki, do ludzi kompetentnych, i ponoszą uciążliwe ofiary, aby dziecku swemu dopomódz. Trudno nie oddać im sprawiedliwości za tę czułą dbałość o stronę intellektualną i fizyczną dziecka. —

A teraz czy widzimy nie taką, ale choćby podobną troskliwość o wyrobienie jego charakteru, jego strony moralnéj, najważniejszéj w człowieku? — Nasamprzód, co do tego, rodzice uważają siebie samych za instruktorów jedynych i najkompetentniejszych, tu oni pomoc obcą mają za zupełnie zbyteczną, wydają się sobie mistrzami. Taki co tysiące gotów wydać na sprostowanie zezującego oka, nie zaopatrzy domu swego ani w jedną książkę pedagogiczną; widzimy nieraz jak rodzice płacą dukatami za odwiedzenie chorego dziecka, ale nie słyszeliśmy, aby, w razie jakiegoś widocznego szwanku duszy, wzywanym był pedagog z powołania, któryby mu zaradził. Czegoż to dowodzi? Oto, że rodzice albo lekceważą uchybienia moralne i pozostawiają je czasowi, mówiąc, że dziecko z tego wyrośnie, jak przyjdzie większy rozum i t. p.; albo że własne swoje siły, choć sami nigdy pedagogami nie byli, uważają za dostateczne, co znowu jest zarozumiałością. Nie! dziecko nigdy ze złych narowów samo przez się nie wyrasta, one owszem rozrastają się w niém i z narowów w dziecku stają się wadami w młodzieńcu, a nie tępione według pewnéj obmyślanéj metody, tylko dorywkowo i nieumiejętnie przeginane, krzywią nareszcie cały charakter, tak samo jak jedno uchybienie w kości pacierzowéj krzywi cały organizm. Takie tedy zaniedbanie i lekceważenie, prawie powszechne, najdroższego duszy ludzkiéj elementu, wydaje społeczeństwu ludzi skażonych i skażenie roznoszących w rozmaitym stopniu. Serce ludzkie, skomplikowana to machina, i niech się nikomu nie zdaje, że nią łatwo każdy kto chce obracać potrafi, że małe w niéj początkowo ślady zboczeń lub uchybień byle czém naprostować można; niéma owszem podobno ofiar którychby nie mieli położyć rodzice, aby śledzić w młodym jeszcze organizmie te zaczątki złego, tak jak śledzą początków skrofuł lub krzywizny, i tępić je z równą usilnością i zarówno metodycznie, jak się tępią wady organiczne, skoro tylko są potemu wskazania.

W domu, gdy tylko dziecko podrośnie, już nikt nie ma czasu niém się zajmować: ojciec ma zajęcia i interesa zewnętrzne, matka ma gospodarstwo i dzieci drobniejsze; w czasie więc kiełkowania nasion złożonych w dziecku przez naturę i temperament, zostaje ono w domu zamożniejszym pod okiem to bony, te guwernantki, korrepetytora, guwernera, rodzice dorzucą czasem jakąś uwagę, jakieś słówko przelotem. Baczniejszych, jeśli dostrzegają coś ważniejszego, gryzie nieraz w sercu przekonanie, że tu wypadałoby szczerzéj zająć się, ale to się odkłada, łata, liczy się na czas, na pomoc boską, nie wiedzieć na co, i jakoś to zagrzecznieje pomiędzy rodzicami i dzieckiem, nim wylezie kiedyś w stosunkach dalszych. Wracamy raz jeszcze do tego, że kiedy poradniki co do hodowli ryb, szparagów, do urządzenia obiadów i t. p. okazują się tak pożytecznemi, że się rozchodzą w tysiącach exemplarzy, czemu nie widzimy podobnéj skrzętności w rozkupie poradnika edukacyjnego? Czyżby zdawało się komu, że łatwiejsza albo mniéj pożyteczna rzecz urządzić wychowanie jak obiad, czy to jest dowodem obojętności, lekkomyślności, czy zarozumiałości? Nie powiadamy, aby jeden poradnik pedagogiczny miał stanowczo i ostatecznie rozwiązać kwestyę, ale wskazujemy tę okoliczność jako symptom dowodzący, że nie istnieje uczucie potrzeby poradzenia się w rzeczy, na którą nigdy zanadto uwagi zwracać nie można.

Mieliśmy dotąd na uwadze rodzinę, która tylko nie dostrzega potrzeby zapobiegania rozwijaniu się zepsucia. Ale wieleż to rodzin same rozwijają zepsucie, boć znowu szaleństwem byłoby twierdzić, że rodzina już przez to samo, że jest rodziną, ma być czemś niepokalaném i ludzi przemieniać w aniołów. Rodzina, jako instytucya, jako zasada, ma, powtarzamy, święte podstawy; ale rodzina, jako ludzie, mieści w sobie wszystkie wadliwości do natury ludzkiéj przywiązane. Czy rodzice kryją się przed dziećmi ze złém, czy nawet, mieszcząc się na kilku łokciach kwadratowych, podobna jest się ukryć ze szkodliwemi przykładami, z wpływami zarażającemi? Czy ojciec egoista i brutal, czy matka lekkomyślna lub występna nie napuszczą jadu swych zdrożności do serc dziecięcych zawsze otwartych na przyjęcie miazmatów atmosfery jaka je otacza? I jakież to dzieci wyjść mogą z pod takich skrzydeł? Jeżeli młody chłopiec traci przyszłość i zacność ludzką w życiu hulaszczém, jeżeli ośmnastoletnia panna przebyła już całą szkołę kokieteryi, nie dziwmy się temu: tego ich po większéj części nauczono w domu—albo przez lekceważenie wykształcenia moralnego albo przez przykład.

To mowa jeszcze o warstwach w których jest a przynajmniéj może być mniéj więcéj rozwinięte poczucie dobrego i złego; ale nie śmiemy nawet zstąpić do warstw niższych, gdzie ojciec nie ma skrupułu, upiwszy się, porwać żonę za włosy i deptać ją nogami, obok całéj wymowy towarzyszącéj zwykle podobnym akcyom; gdzie złe uczynki, jak oszustwo lub kradzież, jawnie się wyzyskują wobec dzieci a nawet za ich pośrednictwem. Nie dotykamy nawet tego ustępu życia rodzinnego, téj idyllicznéj sfery niektórych poetów, bo ona wiąże się ze skomplikowaną kwestyą wychowania wielkich mass, do któréj nie jesteśmy przygotowani. *(d. n.)*



Robotnicy,

dramat w 1-ym akcie p. *E. Manuel'a*, z francuzkiego wierszem przełożony przez *Sewerynę z Ż. D.*

Pierwsze przedstawienie dnia 16 Marca 1872.

Jakkolwiek zapatrywać się będziemy na zadanie sztuki dramatycznéj, nie można zaprzeczyć, że jedynie za pomocą obudzanych wrażeń, wywiera ona wpływ na publiczność. Metody poważnego dowodzenia, sucha dyalektyka, a nawet liryzm i zwyczajne sprężyny krasomówcze, nie są dla niéj skutecznym środkiem podbijania serc i zniewalania umysłów. Sztuka dramatyczna oddziaływa głównie na wyobraźnią widza, którego zamiast *nauczać* w znaczeniu istotném tego wyrazu, stara się raczéj *usposobić* na korzyść prawd wziętych wprost z życia i przeniesionych obrazowo na deski teatralne.

Jest to warunek tak konieczny i tak niemal jednomyślnie od przedstawień scenicznych wymagany, że nie wspominalibyśmy o nim, gdyby równie mógł być łatwo zachowanym w tworzeniu i w wyborze sztuki, o ile jest w zasadzie prostym i obowiązującym.

Lecz właśnie w zastosowaniu występuje na jaw cała trudność pogodzenia effektu z moralną dążnością. Dążność—to dla średnich pisarskich talentów, niby ołowiana kula u nóg gimnastyka. Im większa, tém dokuczliwiéj cięży — i autorowi biedzącemu się nad ożywieniem martwych zlepków pomysłu i artystom, którzy mozolny ten poród wyniańczyć na scenie mają.

Przez usunięcie atoli *myśli* życia z widoku naśladowanych jego objawów, już to okropnych, już śmiesznych, komedya staje się farsą, a z lichéj kombinacyi żywiołów dramatycznych wylęga się albo dziwotwór fantazyi, albo cudaczna sieć z morderstw, podstępów, srogich losów i czarnych charakterów spleciona.

Mały, jednoaktowy dramat E. Manuel'a, przedstawiony w zeszłym tygodniu na scenie Teatru Rozmaitości, uniknął zdaniem naszém obu rodzajów niepowodzenia.

(Dokończenie w dodatku.)

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 25-go.

W Robotnikach nie ma nader sztucznie, nader subtelnie osnutéj intrygi; nie ma ani odbywających się tuż przed oczyma widza szczególnie ciekawych przygód, ani czysto-typowych figur, ani oryginalnie pomyślanych postaci. W utworze Manuel'a zajmuje najbardziéj prawda psychiczna i *odnośnie do skali* w dość wyraźnych zarysach ujęta rzeczywistość.

Rzecz dzieje się na przedmieściu paryzkiém, w skromném mieszkaniu młodego miedziorytnika, który, gdyby przyszła mu nawet chętka udawać niezrozumianych geniuszów i drapować się w bajroniczne namiętności—nieznalazłby zapewne na to czasu.

Wszystkie bowiem jego chwile poświęcone są zaspakajaniu potrzeb niezłomnych i niekłamanych. Biedny człowiek nie zna przesytu, ubogi robotnik roić o niebieskich migdałach nie może.

Ma i on wprawdzie swoje marzenia. Treść ich stanowią cele, do których wytrwale zmierza i grunt prawdziwy życia, na którym ciągle się opiera.

Marceli więc marzy także. Kocha on młodziutką i piękną dzieweczkę mieszkającą w tymże samym domu. Śnią razem o szczęściu, śnią w krótkiéj, lecz drgającéj siłą uczucia rozmowie, śnią na chwilę żeby późniéj aż do grobowéj deski znojem i odwagą w zawodzie praktycznym ziszczać czarowne widzenie młodości.

Miedziorytnik ma starą matkę Joannę. Helena jest sierotą wychowaną przez robotnika Morin'a.

Ojca Marceli nie znał wcale. Z lat dziecinnych przypominał tylko sobie pieszczoty i troskliwość matki. Joanna nieopowiadała też nigdy synowi o swojém pożyciu małżeńskiém. Miał więc powód mniemać, że stracił ojca oddawna, prawdopodobnie jeszcze w dniach swego niemowlęctwa.

Gdy Marceli doszedł do pełnoletności, Joanna mogła nakoniec odpocząć spokojnie po długich trudach utrzymywania siebie i dziecka. Syn wychował się jéj na chlubę i pociechę: w pracy się nielenił, zarabiał sporo, a kochał matkę całém sercem.

Rozumie się, że w tém jego sercu znalazł się także przestronny kącik i dla ślicznéj Heleny.

Druga scena dramatu zapowiada o blizkiém połączeniu się kochanków węzłami ślubnemi. Wkrótce, Morin przybyły świeżo z podróży ma odwiedzić sąsiadów dla zabrania znajomości z Marcelim i z przyszłą świekrą Heleny. Wieść o projektowaném małżeństwie, nie bardzo przypadła mu do smaku. Nie chce on wprawdzie opierać się życzeniu wychowanicy, z tytułu przywilejów opiekuna, lecz pomny na przeszłość swoją obfitą w gorzkie próby, zamierza postępować ostrożnie, zwłaszcza, że idzie tu o ważną sprawę powierzenia losu przybranéj córki w ręce, zupełnie mu dotąd nieznanego człowieka.

Marceli potrafił jednak rozbroić odrazu podejrzliwość opiekuna Heleny. Ze szczerych odpowiedzi miedziorytnika, Morin powziął dobre przekonanie o jego rozsądku i charakterze. Umie czytać, lubi pracę — to już wcale niezła rękojmia uczciwéj przyszłości. Stary robotnik snadniéj zatem i prędzéj zgodził się na wybór wychowanicy niż tego obie interesowane strony spodziewać się mogły.

Lecz oto... *un coup de théâtre*! Drzwi się otwierają — i w trakcie poufnéj rozmowy wchodzi Joanna.

Ledwie gość i matka młodego gospodarza domu spojrzeli na siebie — sielanka zamieniła się w tragedyą. Joanna poznała w przybyłym swego męża.

Narracya, która zaraz potem następuje zaznajamia nas z wypadkami odległéj daty.

Na kilka miesięcy przed przyjściem na świat Marcellego straszna katastrofa rozłączyła jego rodziców. Pijany mąż powróciwszy w nocy z hulanki, co mu się zresztą często zdarzało, pokłócił się z żoną i uniesiony gniewem pchnął ją po dwakroć nożem — poczem sądząc, że zabił Joannę uciekł z miasta. Odtąd nie spotkali się już z sobą.

Popełniony występek jak miał miejsce przed dwudziestu kilku laty, tak teraz w całéj swéj grozie uobecnił się znowu w pamięci małżonków: w kobiecie zawrzała nienawiść, w mężczyźnie ozwał się głos trwogi, wstydu i sumienia.

Czuła matka, cicha niewiasta z gminu, trzymająca się po swojemu ścieżek cnoty, Joanna na widok winowajcy nie zawahała się odkryć tajemnicy. W téj chwili niewstrzymywał już jéj wzgląd na syna; — nie oszczędziła boleści Marcelemu, nie zlękła się oskarżyć przed nim ojca o zbrodnię. Gwałtowność tę zwiększył może jeszcze instynkt zazdrości macierzyńskiéj. Wszakże miłość synowska była dotąd jéj niepodzielną własnością, nagrodą wszystkich jéj udręczeń i zasługi! — Czyż więc zbieg i morderca miał prawo z nią współzawodniczyć? Czyż wolno mu było upomnieć się o jakibądź udział? Morin w oczach Joanny ukazał się obarczony nowym zarzutem. W wyciągniętych ku synowi ramionach rodzica widziała ona zamach przywłaszczyciela i groźnie stanęła w obronie swojego skarbu.

Lecz ze swéj strony, znękany nieszczęściami rozbitek imał się rozpaczliwie ostatniéj deski ocalenia. Zawistny los uśmiechnął się przecież do starca, zdejmował z piersi jego brzemię zgryzoty, ścierał z czoła piętno hańby, wracał mu niespodzianie domowe ognisko, nadzieję, rodzinę. Żeby doznać jeszcze trochę szczęścia, o jakiem nie śmiał nawet pomyśleć wczoraj, niedostawało mu dziś jednéj rzeczy — przebaczenia! Przebaczenie to on musiał uzyskać gwałtem lub tarzającą się w prochu pokorą, uzyskać natychmiast, na zawsze... nieodzownie! Odepchnięty z pogardą rzucił się ku żonie dziki, zapamiętały, z groźbą przemocy...

W tedy przyszła koléj na syna rozstrzygnąć złowrogą niepewność. Miotany sprzecznemi uczuciami, walcząc na przemian ze współczuciem dla ojca, z posłuszeństwem dla matki, z oburzeniem dla występku, Marceli staje między Morinem i Joanną jako sędzia wyrokujący ostatecznie. „Nie znałeś nas dotąd, taka była myśl słów syna, pozostańmy i nadal obcymi dla siebie"...

Morin zachwiał się... Dola jego była spełniona. Syn miał możność potępić ojca i syn potępił. Bezdomnego pielgrzyma skazano raz jeszcze na dozgonne osierocenie i tułactwo...

Bo stawał się odtąd sierotą więcéj niż kiedykolwiek. Żona i dziecię odtrąciłi go od siebie... Z Heleną także rozstanie się niebawem... Na próg mieszkania w którém znajdować się będą ci wszyscy których umiłował — jemu nigdy już wstąpić niewolno!...

Tak postanowiła nieugięta w swéj zemście kobieta, tak rodzony syn kazał...

Rolę Morin'a wykonał na scenie Królikowski i sądzimy że nietylko podniósł ją do szczytu wybornéj reprodukcyi, lecz nadto wlał jeszcze w nią nową siłę, ogrzał ciepłem własnego talentu, natchnieniem własnéj twórczości. Równie potężnym widzieliśmy p. Królikowskiego tylko w Zbójcach, w roli Franciszka Moora. Przejąwszy się duchem sytuacyi uwydatnił on w Robotnikach najsłabsze kontury, napełnił myślą i uczuciem najmniéj wymowne dźwięki. Bo zdolny nasz artysta wie doskonale, że odtwarzając życie, należy przedewszystkiem *żyć*, a nie poruszać się estetycznie na scenie. To też w roli Morin'a nie zobaczysz *przyzwoitéj rutyny* uchodzącéj czasem za genialność, niedojrzysz kokieteryi jałowego sentymentalizmu, która często popłaca stokroć więcéj niż warta. Morin boleje jak człowiek a nie jak automat naśladujący fałszywie cierpienia ludzkie. I gdy tknięta jego rozpaczą Joanna zgadza się nareszcie przebaczyć grzesznikowi, publiczność czuje że w obec téj skruchy wszelki gniew ustąpić musiał, a miłosierdzie było nieuniknioném następstwem takiego żalu i takiéj niedoli.

Stosunek fatalny pomiędzy ojcem, matką i synem nastroja do wysokości tragicznéj te nawet momenta drammatu w których opowiadanie zamienia akcyę. Skarga w ustach Morin'a nabiera wagi przedmiotowo wyobrażonéj krzywdy. W jego narzekaniach uwidomiają się zgubne wpływy, które niegdyś uciskiem a nędzą zatruły najprzód serce małego chłopięcia a późniéj umysł dojrzalszy w grubéj pogrążyły ciemnocie. „Ba! mówi do syna, tobie nieprzystoi pysznić się zbytecznie, bo nad twą głową czuwało od kolebki opatrzne oko rodzicielki, a mnie moja matka „chłostą wyganiała z domu".

Morin nie znalazł w dzieciństwie życzliwéj dłoni, któraby go przygarnęła do gorącéj piersi jemu nie pokazano „drogi do szkoły" nie umiał czytać jak Marceli. Wyrósł bez książki i bez przytułku — w nieuctwie w nędzy, wśród brudnych pokus, i złośliwego szyderstwa. Morin miał słuszność: Marceli sądzić go nie miał prawa.

Słowa Morin'a przeniknięte na wskroś tendencyą nie są tu wszakże wstawione jedynie dla podniesienia morału, lecz wynikają owszem z konieczności artystycznéj i stanowią rdzeń z którego rozwinęła się organiczna przedmiotowość sztuki. Lecz dla tego żeby słowa mogły czyn zastąpić i wywołać równie wielkie wrażenie trzeba je tak wypowiadać, jak to w Robotnikach uczynił Królikowski.

Inaczéj dramat, który słusznie dzisiaj zaliczyć możemy do klejnotów repertuaru straciłby znacznie na swéj wartości, właśnie dla wspomnianego ubóstwa akcyi i prostoty szczegółów mogącéj wydać się bezbarwną przy miernéj grze artystów.

Rolę Marcelego p. Tatarkiewicz oddał należycie, zwłaszcza w kulminacyjnych chwilach. Joannę przedstawiała pani Rakiewiczowa, a Helenę panna Popiel.

BIBLIOGRAFIA.

Warszawski Rocznik Literacki poświęcony literaturze, oświacie, bibliografii i księgarstwu. Rok pierwszy 1871. Redaktor Stanisław Czarnowski, Magist. prawa i Admin. Warszawa. Nakład Wydawnictwa S. Czarnowskiego i Spółki. 1872.

Straszliwy głaz—na szczęście zlepiony z piasku—rzucony został na literaturę naszą. Mó-

wimy o nowém czasopiśmie: „Roczniku literackim warszawskim.“

Hasłem „Rocznika“ jest pozytywizm, dobro społeczne i tym podobne wielkie rzeczy. W odezwie od Redakcyi wyczytujemy obietnicę, że nowe pismo będzie światełkiem (w nawiasie pochodnią) na drodze naszego piśmiennictwa, oświaty i handlu księgarskiego. Cieszymy się, iż odtąd już nie będziemy błądzili w ciemnościach. Przejrzyjmy pobieżnie skarby, jakie przynosi nam „Rocznik“, — a moglibyśmy oczekiwać czegoś wielkiego: zjawiając się bowiem raz na rok, „Rocznik“ musiał zgromadzić plon stokroć bogatszy od innych pism codziennych i tygodniowych.

W pierwszym artykule, pod nazwą „Ogólny pogląd literacki na r. 1871“, czytamy że wszystkie dzieła z pomienionego roku są tylko numerami w katalogu bibliograficznym, i że na domiar złego zatraciliśmy wszelką oryginalność myślenia. Brak nam literatury naukowéj; książki się robią z książek dawniejszych, o ile można zagranicznych, aby zatrzeć ślady plagiatu i kompilacyi, — słowem kopiowanie powszechne. Autor artykułu poszukuje przyczyn bezpłodności myślowéj w naszém społeczeństwie, i upatruje takowe najprzód w zbyt młodym wieku pracowników; następnie w téj okoliczności, że kto nie chce pracować i uczyć się, zostaje literatem i uczy tego czego sam nie zna. Następuje daléj w szeregu przyczyn brak doświadczenia, idyotyzm krytyków, wyrównywający nicości krytykowanych, brak smaku w publiczności, niesumienność księgarzy i t. d. Podług autora na 10 lat życia literatury zaledwie parę książek dobrych wynaleźćby się dało. W przeszłym roku ukazała się jedna tylko: „Meteorologia“ Apollinarego Pietkiewicza; — w innych naukach nie ma prawie co pokazać... Haeckel w przekładzie polskim — nie wielka rzecz: gdyż jest to tylko zbiór metafizycznych hypotez. W powieściopisarstwie i poezyi pustki... Jeż tylko jest *rybą*... na bezrybiu.

Nie lepiéj było i dawniéj... Ciołek, Kopernik, Heweliusz, Solski, Śniadeccy, — oto nasi uczeni; reszta literaci tacy jak i dzisiaj. Prassa peryodyczna nic nie warta, gdyż nie ma ani tendencyi, ani zasad społecznych... Nie tak się ma rzecz za granicą, gdzie *Times*, *Révue des deux Mondes*, *Journal des Débats*, *Allgemeine Zeitung* i t. d. przedstawiają pewne dążności polityczne, religijne lub naukowe. Wyróżniają się tylko w téj mierze: „Przegląd tygodniowy“ i „Kolce.“

Taki to jest ogólny „pogląd“ na stan literatury naszéj. Wiele jest w nim prawdy, lecz za nadto przyprawił ją autor goryczą namiętną i owym pessymizmem, o którym czytaliśmy piękny artykuł w „Wieńcu.“ Nie dwa, lecz dziesięć razy dwa, a może i więcéj poważnych dzieł znajdziemy w literaturze ubiegłych lat dziesięciu. Wspomnijmy prace Helcla, Malinowskiego, Folkierskiego, Niewęgłowskiego, Wagi, Bielowskiego, Szujskiego, szacowne monografie Małeckiego, Kalinki, Szmitta; cały szereg studyów historycznych i prawnych, prace lekarzy polskich, a obraz piśmiennictwa naszego nie wyda się tak ciemnym, jak go wystawia autor „Poglądu.“ Co do przeszłości odleglejszéj, nie łatwo się zgodzić z p. Krupińskim na zaliczenie do *literatów* Ostroroga, Kromera, Bielskich, Marcina z Urzędowa, Syreniusza, Łojki, Naruszewicza, Czackiego, Lelewela, Jundziłła, a z późniejszych: Czerwiakowskiego, Majera, Skobla, Szajnochy, Supińskiego i wielu a wielu innych. Niesłusznie też autor dotknął księgarza Żupańskiego, gdyż wiemy najdokładniéj, że autor „Ksiąg bibliograficznych dwojga“ sam wyznaczał honoraryum za swoje dzieła i z oburzeniem odrzucał propozycye zwiększenia takowego. Musimy także stanąć w obronie literatów. Nie jest to chleb tak łatwy jak się komuś wydawać może. Niejeden sposobi się do pisarskiego zawodu ofiarami większemi niż praca terminatora szewckiego, i na obowiązki swoje zapatruje się jak na kapłaństwo. Nareszcie chcielibyśmy otrzymać od autora „Poglądu“ wskazówki, jakim sposobem dzienniki nasze mogłyby, na wzór *Times'a i Revue des deux Mondes*, powywieszać sztandary społeczne i religijne.

O innych działach „Rocznika“ niewiele mamy do powiedzenia. W artykule p. n. „Przegląd bibliograficzny i recenzye ważniejszych publikacyj 1871 r.“ spotykamy się z parafrazami rzeczy znanych nam z innych pism peryodycznych, — a w braku wyrozumowanego sądu pukają paradoksa i sprzeczności bez liku. Jeszcze jako tako zredagowany jest przegląd nauk społecznych przez p. Leopolda Mikulskiego... Autor oddał lekki pokłon zasłudze i pracy.. Lecz inne działy — *horrendum!* Wszystko dla krytyków „Rocznika“ jest to za nadto lekkie, to nazbyt ciężkie... „Natchnienie jest jednym z pospolitszych produktów głowy i pióra... W hypotezie Darwina, któréj dziś żaden z naturalistów nie może się wypierać pod karą śmierci dla własnéj nauki, many już wynaleziony ogólny porządek, dopatrujemy ogólnéj harmonii“ (str. 19)... P. Papłoński jest niepoprawnym wstecznikiem, albowiem ważył się powiedzieć, że „wola czynna pod łącznym kierunkiem serca przez religię Chrystusową ukształconego i rozumu oświeconego nauką, jest dźwignią chrześciańskiego postępu ludzkości“ (str. 48)... A jakaż to przedziwna zgodność sądów! „W dziele Haeckla znajdziemy pozytywny wykład dziejów przyrody i człowieka; dowiemy się ztamtąd najciekawszych tajemnic naszéj przeszłości i praw rządzących światem“ (str. 16)... Pomimo to „Haeckel jest jeszcze za twardy dla umysłów naszych, do rozrywki tylko przywykłych, i może raczéj zamieszać je niż rozwinąć“ (str. 19)... W jedném miejscu potępiona jest powieść; w inném czytamy, że wnioski p. Tarnowskiego przeciwne rozszerzaniu się powieści są może najujemniejszą stroną dowodzeń znakomitego krytyka i nie mają istotnych podstaw. W artykule o czasopismach, zawierającym zkądinąd wiele myśli rozumnych i słusznych, znajdujemy nie mniéj sprzeczności... Ruch na tém polu odnośnie do przyszłości „kryje w sobie ważne dla literatury i oświaty korzyści...“ a jednak „zużycie się, pustka, czczość myśli, zastój, są to cechy naszego dziennikarstwa, które każdemu od razu wpadają w oczy“ (str. 80—81)... Najniedołężniéj opracowany jest przegląd dzieł pedagogicznych, wychwalający metodę Robertsona (!), z zastrzeżeniem potrzeby konwersacyi... Nie papug, lecz filologów nam trzeba...

Już to wszystkim dostało się po trochu od „Rocznika.“ Poczciwą „Zorzę“, o któréj z bezpośredniéj obserwacyi wiemy, że czytywana i lubiona jest od piśmiennego ludu, pozbyto pogardliwym szczutkiem... „Kuryer Warszawski“, wybornie odpowiadający zadaniu swojemu, jako gazeta brukowa, bezwzględnie obryzgany został błotem... Najwięcéj zabolała nas lekkomyślna wzmianka o Jastrzębowskim, który stokroć więcéj zrobił dobrego krajowi niż „Przegląd tygodniowy“, „Kolce“ i „Rocznik literacki“ *in gremio*. Pochwałą zaszczyceni zostali: p. Ochorowicz, „Przegląd Tygodniowy“, „Kalendarz rodzinny“ Jaworskiego i „Kolce“... zapewne na zasadzie „wyróżnienia się“... Człowiek z miedzianym a nie zwyczajnym łbem niezawodnie pozyskałby względy „Rocznika.“ O, gdyby współpracownicy pisma młodego pamiętali o radzie p. Krupińskiego i ażeby, przed nauczaniem innych, przepędzali po kilkanaście lat, po ukończeniu *wyższych nauk*, na naukowéj pracy mozolnéj!.. Natenczas Maciejowskiego krytykowałby Dutkiewicz, a nie p. A. Świętochowski; Hirszfelda — Girsztowt, a nie p. Chmielowski; Malinowskiego—Małecki, a nie p. Leopold Mikulski; Słowackiego—Tarnowski, a nie p. Walery Przyborowski; Supińskiego—Libelt, a nie p. Aspis.

Życiorysy i nekrologia, a raczéj króciutkie wzmianki o kilkunastu żyjących i zmarłych pisarzach, zamykają literacką część „Rocznika.“ Regestr towarzystw naukowych, szkół i bibliotek, projekt ustawy „Czytelni popularnéj“ (p. J. Statkowskiego), katalog publikacyj (z opuszczeniami) i spis ważniejszych księgarni, stanowią właściwie dział informacyjny „Rocznika.“

KALECY

Komedya w 3-ch Aktach

przez

Zygmunta Sarneckiego.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 24).

STEFANIA (wzruszonym głosem).

Dziękuję panu— ale odmawiam.

RADECKI (po cichu).

Zlituj się... zostaw nadzieję... pozwól czekać.

STEFANIA.

Nie! Ubliżyłabym panu i sobie... Z takim jak pan człowiekiem można być tylko szczérą i otwartą.

RADECKI (n. str.).

Ona go kocha!

HRABINA.

Moje dziecko tak bez namysłu...

STEFANIA (patrzy na Radeckiego i Henryka, którzy się mierzą wzrokiem).

Chcę tylko z *tobą* na zawsze zostać pani!

HRABINA (do Stefanii, która wzięła robotę i siadła).

Znam twoją żelazną wolę... dlatego nieśmiem ci się sprzeciwiać, a zdaje mi się, że wypuszczasz szczęście z dłoni...

STEFANIA (pół głosem).

Zlituj się pani zacznij ogólną rozmowę...

HRABINA.

Panie Henryku proszę Cię o książkę.

HENRYK.

Służę pani.

HRABINA.

Mój Boże! jak się to czasy zmieniają... dziś pan Henryk jedyny może purytanin, jakiego znam, dziwi się gdy spostrzeże na damskim stoliku dzieło podobne temu, a w mieście tylko za takim rodzajem powieści lub romansów gonią i wyrywają je sobie z ciekawością. Co prawda masz pan słuszność dziwić się. Przed laty matka moja prawdziwa matrona niepozwoliłaby lokajom czytać tego w przedpokoju, ale społeczeństwo do wszystkiego przyzwyczaić się może, nawet do trucizny, aby mu ją tylko dawać powoli i w małych dozach.

RADECKI (zupełnie spokojnie).

To zależy pani od społeczeństwa i od rozumu tych, którzy się za jego mentorów lub lekarzy uważają. Zdrowemu nic nie szkodzi a słabe, przeżyte, wątłe aby silniejsze wstrząśnienie zabi-

ja. Społeczeństwo jest jak szydełkowa robota panny Stefanii, tak cienki jedwab'... (przygląda się) czy podobno tak słaba włóczka je łączy... że nieraz chociażby najwprawniejsza ręka chcąc zrobić węzełek naciska za silnie... i nitka rwie się lub pęka.

STEFANIA (która słuchając Radeckiego mimowolnie zerwała włóczkę, spokojnie).

Jak w mojéj robocie w téj chwili (pokazuje urwane końce. Chwila milczenia).

Anioł przeleciał między nami. (Radecki szyderczo się uśmiecha—chwila milczenia—znać że sprzeczne uczucia miotające zgromadzonemi osobami niedozwalają zawiązać spokojnéj rozmowy).

HRABINA.

Będę musiała pożegnać panów i schronić się do łóżka. Jestem mocno cierpiąca i znużona. Ściemnia się i chłód mnie przejmuje. Wejdźmy do domu... kto mi pomoże?

RADECKI.

Ja pani!

STEFANIA.

Naturalnie że i ja.

HENRYK.

I ja!

STEFANIA.

Zapóźno. Weź pan szczudła!

(Stefania i Radecki prowadzą hrabinę, na schodach pokazuje się kamerdyner).

HRABINA.

Dziękuję—niefatyguj się pan dalej. Jan mi poda rękę (do Łańskiego i Stawnickiego. Będę miała przyjemność zobaczyć panów jutro?!! (wchodzi ze Stefanią i kamerdynerem do domu).

STAWNICKI.

Niezawodnie pani hrabino.

HENRYK (do Radeckiego, który się zatrzymał przed schodkami).

Przed chwilą *jeszcze*... a teraz *już* pan niemasz prawa.

RADECKI (spokojnie).

Spodziewam się, że pan mnie nie chcesz obrazić. Uważam go za szlachetnego człowieka który pojmuje... jak wiele cierpię. Kochasz ją i tobie nieodmówią.

HENRYK.

Kto to panu powiedział?

RADECKI.

Patrzyłem się... a ja zwykle wszystko widzę.

HENRYK.

Daruj mi moją żywość... i bądź przyjacielem...

RADECKI.

Ja! (po chwili) Zgoda! (z gorzkim uśmiechem n. str.) Szaleniec!

HENRYK.

Co mówisz?

RADECKI.

Nic—ale myślałem w duszy żeś ty większy odemnie kaléka... i dla tego muszę spełnić twoje życzenie.

HENRYK.

Bóg zapłać (ściska mu rękę).

RADECKI (n. str.).

No kto mnie zapłaci—to do przyszłości należy (wstępuje na schodki).

STAWNICKI.

Henryku!

HENRYK.

Jestem! (do Radeckiego podając mu szczudła) Proszę Cię... przepraszam...

RADECKI.

Bez ceremonii mój drogi... jak z bratem (wychodzi).

HENRYK.

Gdybym mógł wierzyć,... gdyby mi kto moje wieczne powątpiewanie wyrwał z serca i duszy. Ta ohydna książka... Ta męzka śmiałość... To lekceważenie form towarzyskich!! Sama osobiście układała się za mnie i za siebie z nieznanym oficerem... On ją mierzył wzrokiem i podziwiał piękność... Czuję, że zazdrość ta, szalona... a poskromić jéj nie mogą.

Scena VI.

HENRYK, ŁAŃSKI i STAWNICKI

ŁAŃSKI.

No chodźże. Nie marudź marząc o niebieskich migdałach. Stawnicki przez wzgląd na ciebie oddał mi dług, chociaż termin przyobiecanéj wypłaty nieupłynął...

HENRYK (podając rękę Stawnickiemu).

Dziękuję ci całem sercem—dziękuję.

STAWNICKI.

Ah! dla przyjaciela.

ŁAŃSKI (n. str. do Stawnickiego).

No odejdź teraz...

STAWNICKI (n. str. do Łańskiego).

Oj! ty figlarzu! (wychodzi).

ŁAŃSKI (podając).

Masz tu dwa tysiące.

HENRYK.

Dziękuję... tylko że...

ŁAŃSKI.

Potrzebuję czterech... ale nie dziś...

HENRYK.

Za tydzień najdalej...

ŁAŃSKI.

Za tydzień przywiozę resztę, jak siostrę rodzoną kocham.

HENRYK.

Całe życie wdzięcznym ci będę (chowa pieniądze) zatém we Czwartek...

ŁAŃSKI.

Co mamy dziś! a tak... za ośm dni... we Czwartek... (n. str.) Jak zauważę że niemożna... to mi się coś przytrafi i niepojadę... a zawsze mu dopomogłem i bułanki będą moje (głośno). Chodźmy (wchodzą do domu).

Scena VII.

STEFANIA (Sama, na balkonie facyatki—okna których oświeciły się przed chwilą)

Jaki spokój w naturze... Prześliczna noc... wietrzyk nawet jednym listkiem nieruszy... Zdaje się, że powinnabym była przyzwyczaić się do pracy i do ruchu... a pomimo to czuję, że dzisiejszy dzień znużył mnie i zmęczył... Jestem osłabioną, senną, prawie marzącą... Ja!... Serce mi tak bije mocno i gwałtownie. Doprawdy wstyd, zaczynam stawać się romansową panienką!... coby ludzie, coby dobra hrabina moja na to powiedziała, gdyby mogła dostrzedz pod hartowną, męzką zbroją w któréj Stefan codziennie walczy z życiem... kobiece serce drżące i zakochane... Cóżem powiedziała, szczęściem niema tu echa i słuchaczy... Noc dochowa mi tajemnicy... O! nocy tyś jedynym moim powiernikiem... Ale i z nim długo mówić niemożna... to osłabia nerwy i umysł odrywa od obowiązków... Potrzeba zamknąć się w żółwią skorupę ale własną... i daléj po świecie (rzuca od ust pocałunek w powietrzu)... Moje drzewa... moje egzaltacje... moje marzenia... Dobranoc! (wychodzi).

Scena VIII.

KAMERDYNER i JÓZEF

KAMERDYNER (stukając z cicha do okna oficyny)

Panie Józefie! panie Józefie!—Otwórz pan. Aha! wstaje, idzie... probuje otworzyć. Niemoże. Mocniéj... nożem. Masz pan nóż?... Już Bogu dzięki!.

JÓZEF (w strzeleckiéj liberyi otwiera okno i podaje rękę—cała rozmowa prowadzi się półgłosem)

Dobry wieczór.

KAMERDYNER

Chodź pan do mnie—do mojéj żony na herbatę...

JÓZEF

Nie mogę, kazali mi waryata pilnować.

KAMERDYNER

A cóż on tam robi?

JÓZEF

Przykryłem go moim liberyjnym paltotem i śpi.

KAMERDYNER

No proszę—śpi biedaczysko! Ot byś pan poszedł.

JÓZEF

Kiedy drzwi z zewnątrz zamknięte.

KAMERDYNER

Oknem.

JÓZEF

Kiedy się boję.

KAMERDYNER

Niema czego. Pani hrabina poszła spać nawet Herod...

JÓZEF

Co za Herod?

KAMERDYNER

A któż jeśli nie nasza panna Stefania, wgramoliła się na swoją górkę... Ot świeci się nawet u niéj... Obydwa radcy grają w sztosa, nieprzestaną aż o dniu... a twój pan rozmawia z Radeckim popijając herbatę... w gościnnych pokojach wszystko dla nich gotowe. Janek ich rozbierze, a żona, ekonomowa, pisarz, leśniczy, czekają na nas... Mam różaną... przepaloną... sama w gardło leci...

JÓZEF (ze śmiechem).

Jak szalona!... toby może dobrze było i mnie przez okno wylecieć... tylko o waryata się boję...

KAMERDYNER

Eh! pal go kaci!

JÓZEF (żegna się).

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego (wyskakuje).

KAMERDYNER

Amen.

JÓZEF

O! do licha nóż mi wypadł na podłogę.

KAMERDYNER

To go pan jutro znajdziesz. Chodźmy. (zbliża się naprzód sceny).

Ot! i na facyatce światło zgasło.

JÓZEF

Daléj żwawo (wychodzą).

Scena IX.

KADZIŃSKI, (później) HENRYK i RADECKI

KADZIŃSKI

(pokazuje się w oknie w liberyjnym paltocie na ramionach — chudy i blady. Oczy obłąkane — mocno poziewa — wciąga mimowiednie palto na ręce i zapina je drżąc jakby od zimna)

Jak ja długo spałem. Muszę się przejść... Zimno mi! (idzie wgłąb i wraca). Zamknięto! Chyba oknem wyskoczę... czemu nie... tylko muszę wziąść czapkę... ale gdzie ona jest... (schyla się). Nóż!... nóż!... Co ja z tym nożem zrobię! (uderza się w czoło). Ha! wiem... przypominam sobie... Ona! ona! czarownica, urzekła, zgubiła, zrujnowała... Zabiję ją! — Mam nóż... (wyskakuje). Tu była gdzieś drabina... Pamiętam, pamiętam... Jest!... Dalej Kadzińsiu, daléj rezydencie, daléj darmozjadzie... Ciężka!... (dźwiga i ciągnie drabinę). Pluli mi w twarz... teraz ja plunę ale nożem i krwią... (wskazując na facyatkę). Ha! tam jéj dziewiczy pokoik (ustawia drabinę opierając o balkon naprzeciw uchylonego okna na parterze). Dobrze! No teraz mi się niewymkniesz! (bierze nóż w usta i zaczyna włazić).

RADECKI (otwiera okno parterowe we dworze i pokazuje się w niem razem z Henrykiem obydwa palą cygara).

Zaufaj mi a ja cię wyprowadzę z tego zaczarowanego koła niepowodzeń... Co to jest?

HENRYK

Drabina! oparta o balkon facyatki. Chodźmy zobaczyć.

KADZIŃSKI (na drabinie.)

Zabiję!... muszę zabić!... głowa pali a ciało przejmują dreszcze (wchodzi na balkon i niechcący nogą strąca drabinę na ziemię. — W téj chwili Henryk i Radecki pokazują się we drzwiach.) Tylko cicho żeby jéj nie spłoszyć! (Otwiera nożem drzwi od pokoju Stefanii i wchodzi).

HENRYK (na środku sceny.)

To jéj sypialnia! ktoś wszedł do jéj pokoju!

RADECKI

Przy błysku ognia z cygara zdawało mi się dojrzeć świecące guziki.

HENRYK (z bolesnym krzykiem).

Mundur! (upada na jedno z krzeseł stojących obok rabaty z kwiatami.)

RADECKI

Ho ho! czy to przypadek mimo méj woli mścić się podejmuje!

(Zasłona spada).

Akt II.

(Scena przedstawia pokój. — Przyzwoite umeblowanie. — Troje drzwi z których jedne w głębi, drugie i trzecie w bocznych kulisach. W rogu pokoju po prawéj stronie kręcone schodki prowadzące na górę do facyatki. — Po stronie przeciwnéj okno. — Na pierwszym planie stolik do kart — na nim dogorywające świece — Łański i Stawnicki grają.

Scena I.

ŁAŃSKI i STAWNICKI później KAMERDYNER

ŁAŃSKI

Banco.

STAWNICKI

A niechże cię... znowu wziął.

ŁAŃSKI

Jak rodzoną siostrę kocham — nie mogę grać daléj... głowa mnie boli.

STAWNICKI

Oj! figlarzu znam ja twoją głowę... drogo mnie ona kosztuje.

ŁAŃSKI

Nie, nie... dziś to naprawdę... zresztą... Patrz. Już jasny dzień na dworze... Nieobrażajmy Pana Boga... (zdmuchuje świece.) Jeszcze w nocy jak w nocy ale po dniu potrzeba pracować...

STAWNICKI

Albo to nie praca... ho! ho! (ziewa) przespałbym się...

ŁAŃSKI

Niema czasu... Wstawaj i jedźmy do Szarówki...

STAWNICKI

Bez Henryka... on pewno spi jeszcze...

ŁAŃSKI

To i lepiéj, obejrzymy wszystko sami, rejestra sprawdzimy, kwity z opłaconych rat znajdziemy u rządcy... a jakoś zręczniéj wypytać się jak stoją jego interesa, jakie nadzieje... na co można liczyć... no choćby i inwentarz oglądać,... kiedy pana niema w domu...

STAWNICKI

Oj! ty filucie! nie darmo masz głowę na karku (ziewa.)

ŁAŃSKI

Wyśpisz się na bryce... chodźmy...

STAWNICKI

A obiad?

ŁAŃSKI

Tu powrócimy i możemy sobie nawet wieczorkiem zagrać.

STAWNICKI

Ale ja już banku nie trzymam.

ŁAŃSKI

No, no, to ja ci założę, albo dla zgody i jednakiéj szansy pociągniemy sobie dyabełka (odmyka drzwi w głębi) Hej! jest tam kto!

KAMERDYNER (wchodząc)

Co pan rozkaże?

ŁAŃSKI.

Konie nasze są?

KAMERDYNER

Tylko co widziałem jak furman wielmożnego pana wracał niemi od stawu, gdzie mył najtyczankę.

ŁAŃSKI

Zobacz czy nie wyprzągł... i niech zajeżdża... (kamerdyner wychodzi.) Proszę, a ten zasnął w najlepsze!... (budzi Stawnickiego.) Wstawaj, wstawaj śpiochu... jak rodzoną siostrę kocham nie rozumiem tego braku wytrzymałości i takiego osłabienia...

STAWNICKI (wstając poziewa i wyciąga się.)

Ja bo jestem delikatny i nerwowy jak kobieta.

KAMERDYNER (wchodzi)

Zajechał.

ŁAŃSKI

A to w drogę...

STAWNICKI (ziewając do kamerdynera.)

A jakby się o nas pytali...

ŁAŃSKI

Powiedzieć że powrócimy na obiad.

KAMERDYNER

Rozumiem.

STAWNICKI (ziewając)

Jedziemy do Szarówki... ale na krótko...

ŁAŃSKI

A pan Tworzycki! niech się o nas nie troszczy

(wychodzą)

Scena II.

KAMERDYNER i JÓZEF

KAMERDYNER (Idzie do stolika na którym grali) Rubel!... tylko rubla zostawili... (chowając rubla do portmonetki.) Miałbym ochotę go im oddać! Oj! niema dawnych panów, niema!

(zaczyna sprzątać)

JÓZEF

(uchyla drzwi i woła po cichu.)

Panie Janie! panie Janie!

KAMERDYNER (sprzątając.)

A co tam?

JÓZEF (wchodzi)

Mam panu coś powiedzieć.

KAMERDYNER.

A to pan powiedz panie Józefie... Chodź! chodź!... Niema nikogo jedni wyjechali, drudzy śpią.

JÓZEF (załamując ręce z rozpaczą.)

Wielka bieda, wielka bieda! *(d. c. n.)*

ŻOŁNIERZE WALLENSTEINA.

Te dwa wyrazy wystarczały w swoim czasie to jest podczas trzydziesto-letniéj wojny, do wzbudzenia postrachu i uczucia zgrozy, w każdym mieszkańcu Czech, Łużyc, i Saksonii, w ogóle na przestrzeni ogromnego teatru téj wojny, pozornie za ideę a w rzeczywistości dla zdobycia przewagi politycznéj prowadzonéj. Te hordy wojennéj zbieraniny, łotrów grabieży chciwych, wprawdzie nie poraz pierwszy zaciążyły nad dobrobytem i spokojem środkowéj Europy, cały ich ciężar kilkaset lat wprzód już słowiańskie ludy nad Łobą i Odrą osiadłe, byłto tylko w mniéjszéj formie i pod innym pozorem wylew tego samego drapieżnego usposobienia. Obraz którego kopię podajemy, nie przedstawia wprawdzie całéj jeszcze okropności tych zagonów mieczem i ogniem niszczących pracę rolników i mieszczan, pustoszących zamki możnych, ogładzających całe okolice i pozostawiających swych własnych rannych i zabitych na pastwę śmierci głodowéj lub drapieżnego dzikiego zwierza,—daje nam jednak w łagodnéj formie obyczajnego pomysłu wyobrażenie o stopniu uobyczajenia przywódców Walenszteinowego żołnierstwa obierających sobie kwaterę gdzie i jak wypadło, i gospodarujących w cudzéj siedzibie jak w swojéj własnéj.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 13 (25) Марта 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.